

MA.

PISMO
KULTU
RALNE
NR 01/2015



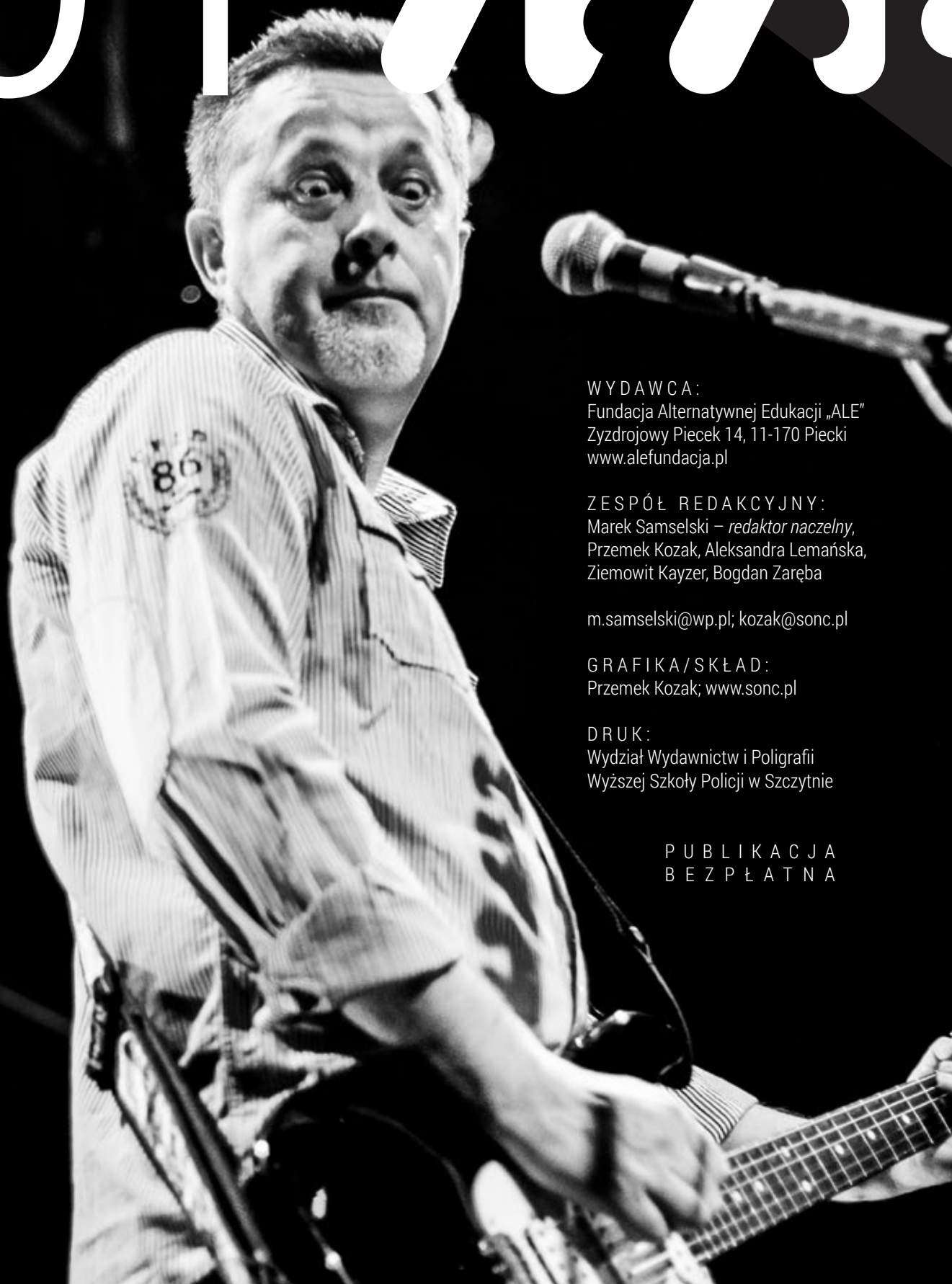
SCHYŁEK SŁOWA

ISSN 2450-4262



01 W.

2015



WYDAWCA:

Fundacja Alternatywnej Edukacji „ALE”
Żyzdrowy Piec 14, 11-170 Piecki
www.alefundacja.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Marek Samselski – *redaktor naczelny*,
Przemek Kozak, Aleksandra Lemańska,
Ziemowit Kayzer, Bogdan Zaręba

m.samselski@wp.pl; kozak@sonc.pl

GRAFIKA/SKŁAD:

Przemek Kozak; www.sonc.pl

DRUK:

Wydział Wydawnictw i Poligrafii
Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie

PUBLIKACJA
BEZPŁATNA



PISMO KULTU RALNE

NR 01/2015

S
P
I
S
T
R
E
Ś
C
I

MOWA O SCHYŁKU SŁOWA	04
PERFECT → relacja	06
Biblioteka poleca → recenzja	08
„Mała Moskwa” → recenzja	09
Artur Urbański → poezja	10
MISTERIUM → wydarzenie	12
Sukienka → proza	13
Nie fajnie jest być fajnym → felieton	14
z Andrzejem Cisowskim rozmowa warsztatowa	15
Andrzej Cisowski → galeria	16
taka fundacja → wydarzenie	19
Serial Killer → proza	20
Castel di Adolfo, czyli Zamek Adolfa → proza	22
Paweł Salamucha → miniatury	24
Paweł Salamucha → poezja	26
UBRANI W SŁOWA → felieton	27
nie tylko kalambury nie dla ponurych → rozrywka	28
W strumieniu świadomości → proza	30
FOTOKOMÓRKA	31

Szanowni Państwo, drodzy mieszkańcy Szczytna,

Czuję się wyróżniona, że właśnie mnie poproszono o napisanie krótkiego wstępu do nowego pisma. Trzymacie teraz w ręku czasopismo wyjątkowe, co najmniej na skalę regionu. Ambitne, pełne interesujących tekstów i co niezmiernie ważne, tworzone przez mieszkańców dla mieszkańców. To lektura obowiązkowa dla każdego, kto interesuje się życiem swojego miasta.

W mieście, w którym rozwija się kultura, szybko wzrasta kapitał społeczny. Rośnie świadomość mieszkańców, tworzy się prawdziwe społeczeństwo obywatelskie. I to właśnie dzieje się teraz w Szczytnie. W dzisiejszych czasach szeroko rozumiana kultura jest priorytetowym elementem tożsamości każdego miasta. Ludzie kultury, aktywiści, społecznicy są ambasadorami swoich miejscowości, ich wspólne działania składają się na ich wizję i markę. Jestem przekonana, że to pismo jeszcze bardziej zjednoczy twórcze środowisko Szczytna i przyczyni się do jeszcze większego wyzwolenia twórczego potencjału miejskiej społeczności.

Dziś Szczytno może być dumne ze swojego nowego pisma, wszyscy możemy być dumni z jego twórców. Udowodniliście Państwo, że nawet w dobie mediów elektronicznych i portali społecznościowych, ludzie w Szczytnie chcą tworzyć i czytać własne pismo. Że chcą się angażować, działać na rzecz wspólnej przyszłości, bo czują się odpowiedzialni za swoje miasto. Nie bez znaczenia jest oczywiście postawa samorządowców, bo dobry przykład często idzie z góry. Chciałabym w tym miejscu podziękować radnym miejskim:

dr Tomaszowi Łachaczowi, Rafałowi Kiersikowskiemu oraz Sławomirowi Staszakowi.

Na koniec raz jeszcze gratuluję i dziękuję autorom pisma. Życzę kolejnych kreatywnych pomysłów, sukcesów, satysfakcji twórczej. A Państwu życzę wszelkiej pomyślności i oczywiście miłej lektury!

Z poważaniem
Urszula Pasławska

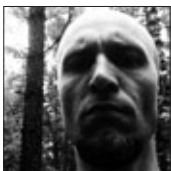
Urszula Pasławska
Poseł na Sejm RP



MAREK SAMSELSKI

ALEKSANDRA
LEMAŃSKA

ZIEMEK KAYZER



PRZEMEK KOZAK

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy na łamy. Naszą ideą jest publikowanie tekstów, prac graficznych, zdjęć – autorów amatorów, także profesjonalistów. Dziękujemy tym, którzy przyczynili się do powstania niniejszego numeru. Nie byłoby go, gdyby nie zaangażowanie pani poseł Urszuli Paślowskiej oraz szczycieńskich radnych dr Tomasza Łachacza, Rafała Kiersikowskiego i Sławomira Staszaka. Mamy ogromną nadzieję, że nie jest to numer efemeryczny. Założyliśmy, że będzie to kwartalnik. Aby przyszłe numery ujrzały światło dzienne i wieczorne, będziemy starać się o zewnętrzne dofinansowanie.

Wspólnie redagowaliśmy pismo Nasz Akapit w latach 2005-2008. Było to pismo o podobnej formule, jaką proponujemy teraz. Wielki udział w wydaniu Naszego Akapitu miał Klaudiusz Woźniak, a prócz niego Olga Kokoryn, Ela Zyra i tragicznie zmarły Krzysiek Gugnacki. Korzystając z naszych doświadczeń powstał w 2008 roku Variart, do dziś wychodzące pismo, którego wydawcą jest Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie. Zresztą od początku do dziś, autorem projektu graficznego i okładek Variartu jest Przemek Kozak.

wiali sobie na ten temat. W ongisiejszych numerach Naszego Akapitu, Przemek na okładce proponował plakatu obrazu tematu felietonu, który pisałem na ostatniej stronie. W NA proponuję dyskusję na temat.

Ola Lemańska – Czy będziemy rozmawiać o ubożeniu słowa pisanego, czy mówionego też, czyli wszelakiego?

Z.K. – Myślę, że wszelakiego, gdyż coraz bardziej męcząca jest mowa skrótowa, którą permanentnie słychać. Te wszystkie supery, lole i omgi...

Przemek Kozak – Emotikony... łatwiej jest rzucić skrót, słowny albo obrazkowy, niż...

M.S. – ... męczyć się budowaniem zdań.

P.K. – Nauczyciele w szkołach proponują drogę na skróty. Na przykład, żeby uczniom łatwiej było zrozumieć treść „Zemsty” Fredry, nauczycielka proponuje obejrzenie filmu. Nie wiem, czy wielką trudność sprawia piętnastolatce przeczytanie tekstu „Zemsty”? Faktem jest, że tablety z przekazem obrazkowym wypierają teksty, książki. Czego by się nie czytało, powoduje to zagęszczenie neuronów w mózgu, uruchomienie wyobraźni, asocjacji. Czytając Tolkiena nie mamy wyobrażenia własnego Hobbita, gdyż silnie już funkcjonuje na skutek narzuconego obrazu.

O.L. – Moja ośmioletnia córka lubi oglądać obrazki i grafikę na stronach internetowych. Niechętnie zabiera się do czytania. Tekst ciągły, linearny, czyli linijka po linijce, jest widocznie za mało atrakcyjny. Chętnie czyta słowo połączone z grafiką. Opowiedziałam jej o swoich lekturach, o tym jak dużo czytałam, no i o tym, że moją ulubioną lekturą była „Emilka ze Srebrnego Nowiu”. Powiedziała jej, że dlatego nosi imię Emilka. Bardzo zaintrygowało to moją córkę i nabrała ochoty na przeczytanie tej książki.

P.K. – No tak, potrzeba intrygi. A rozglądając się, widzimy wpatwienie w ekrany i ekraniki. Byłem niedawno w Japonii i powiem wam, że tam to już graniczy z obłędem. Wszędzie, na ulicy, w kawiarniach, w metrze... dosłownie wszędzie ludzie funkcjonują, niby rozmawiają, spacerują, jedzą, piją – nieprzerwanie wpatwieni w ekraniki. W polskiej szkole z kolei, podczas przerwy panuje względna cisza. Dlaczego? Dlatego, że dzieciaki siedzą rzędem pod ścianą korytarza, nie rozmawiają ze sobą, a porozumiewają się esemesami, fejsbukami.

M.S. – I w tej porozumiewawczej mowie króluje skrótowiec. Brak zapewne zdań współrzędnie albo podrzędnie złożonych. Nie ma epitetów, bo wystarczy – super, albo – do bani. Ale mam coś na pocieszenie; niedawno prowadziłem cykl warsztatów twórczych z uczniami warszawskich szkół podstawowych. Zadawałem im pytanie czy wolą bajkę oglądać, czy czytać. Okazało się, że mniej więcej połowa dzieciaków była za czytaniem. Bo porusza wyobraźnię!

O.L. – Zauważyłam, że młodzi ludzie niechętnie rozmawiają ze sobą twarzą w twarz. Spotykają się po południu i porozumiewają się „płytko”. Jest to łatwe,

MOWA O SCHYŁKU SŁOWA

Marek Samselski – Zasiadliśmy wokół kwadratu redakcyjnego stołu. Dobrze, że nie jest okrągły, gdyż mógłby przywoływać skojarzenia z okrągłymi, pełnymi frazesów zdaniami.

Ziemek Kayzer – Albo na przykład z piłką. Pustą w środku.

M.S. – Tak. Piłka jest okrągła, a bramki są dwie – powiedział niezapomniany trener Górski. Z całym szacunkiem, jest to jednak pusty frazes. A korzyść z kwadratowego stołu jest taka, że nie zaglądamy sobie w karty. Więc otwieram mocną brydżową odzywką – dwa bez atu. Co nie znaczy, że brak nam atutów.

Z.K. – Dwa bez atu nie jest teraz mocnym otwarciem. Dawno musiałeś grać w brydża.

M.S. – To prawda, widać jestem starej daty. A pamiętam, kiedyś czwartego do brydża znaleźliśmy, dzwoniąc na chybił trafił do abonentów z książki telefonicznej. Teraz to niemożliwe; ochrona danych, ludzie się okopują, nie ma książek telefonicznych...

Z.K. – Coraz mniej w domach książek.

M.S. – No właśnie, tematem naszego spotkania jest ubożenie języka. Czy język nasz ubożeje i jak temu przeciwdziałać? Przemek zaproponował okładkę, a ja mam propozycję, żebyśmy porozma-





ale powierzchowne porozumienie. Dopiero wieczorem rozgrzewają się fejsbuki i fora internetowe.

P.K. – Tak, bo można być anonimowym.

O.L. – Właściwie można zadać sobie pytanie, z gatunku, co było pierwsze – jajko czy kura? Czy zubożenie, uproszczenie języka powoduje rosnącą trudność w porozumiewaniu się, czy coraz trudniej nam się porozumieć, i dlatego ubożeje nasz język?

Z.K. – Relacje z potrzebnym porozumieniem zamieniają się w transakcje, gdzie porozumienia nie trzeba. Przykładem niech będzie wprowadzenie przez biurokratów w oświacie, określenia ucznia jako „odbiorcy usługi edukacyjnej”. Więc, czy to będzie relacja pomiędzy nauczycielem a uczniem, szefem a podwładnym, uczniem a uczniem, rzecz sprowadza się do wydania polecenia, albo dogadania się bez zbędnej rozmowy.

P.K. – Niedawno brałem udział w towarzyskim spotkaniu. Siedzieliśmy wieczorem z kolegami, była luźna atmosfera, a ja zacząłem nagle mówić literackim językiem. To znaczy opowiadałem o czymś dość kwieciste, budując długie zdania, używając epitetów, przerośniętych i porównań. Towarzystwo jakiś czas trwało w zdumieniu, kontemplując na bieżąco, to co słyszy, a potem poprosiło, pukając się w czoła, żebym zbastował. Bo po co tego słuchać?

M.S. – Była tu mowa o powierzchownym porozumiewaniu się. Myślę, że problemem staje się też powierzchowne czytanie. Przemek zraził sobie słuchaczy zbyt bogatą treścią zdań. Czytelników zraża nie tylko zbyt duża ilość tekstu. Coraz częściej pewnie łapią się na tym, że ślizgają się po jego powierzchni, nie chcąc zgłębiać jego treści. Spotkałem się z określeniem „inteligencja naleśnikowa”, to znaczy, że świat ma teraz do dyspozycji ogromną powierzchnię pełną informacji, ale efekt tego jest przewrotny. Treści jest tak dużo, że trudność sprawia jej

zgłębienie. Trudno jest zanurkować w treść czytanej powieści, ślizgamy się po jej powierzchni.

Z.K. – O ile w ogóle czytamy cokolwiek. Do gazet w ogóle nie zagląda co szósty Polak. W przedszkolu mojej córki wychowawczyni zapytała dzieci, jakie gazety czytają ich rodzice. Padły odpowiedzi „z Lidla”, „z Biedronki”, „z Kauflanda”. Chodziło o gazetki reklamowe, gotową papkę.

P.K. – A gotowa papka internetowa powoduje, że w zaskakujących sytuacjach słabo sobie dajemy radę. Na przykład, kiedy zbijemy szklankę, stajemy bezradnie i najchętniej wcisnęlibyśmy kombinację Ctrl+Z.

O.L. – Może wróć do pytania – jeśli nasz język ubożeje, to czy możemy temu przeciwdziałać? Trzeba ludzi do czytania zachęcić. Nie wystarcza jednak dać im książkę. Na podstawie moich dotychczasowych doświadczeń widzę, że skuteczna może być metoda „szkatułki”. Trzeba zwabić ludzi do otwarcia szkatułki, w tej szkatułce jest następna szkatułka, w tej kolejna, a w ostatniej szukane słowo. Podam konkretny przykład. Dziewczyny, uczennice, które wydały kolejny numer młodzieżowego pisma „Za Maskami” zastanawiały się, jak sprawić, żeby było czytane. Więc podczas przerwy w szkole wyszły owinięte kolorowymi bandażami rozdając zaproszenia do ośrodka kultury na przedstawienie. Młodzież przyszła na przedstawienie i usłyszała fragmenty tekstów z czasopisma. Towarzyszyły temu sceniczne światła i efekty dźwiękowe. Na koniec widzowie otrzymali „Za Maskami”, użyto też fejsbuka do rozpropagowania wydarzenia.

Z.K. – Czyli użyto różnych współczesnych kodów marketingowych i public relations, żeby osiągnąć zamierzony cel. Tego nie unikniemy i te narzędzia są potrzebne.

O.L. – Tak. W drugim przypadku dziewczyny zaprosiły dorosłych do biblioteki pedagogicznej na wydarzenie pod hasłem „Dialog”. Rozdały im ruloniki z cytatami z czasopisma. Zaproszeni goście mieli wypowiedzieć się, co taki cytat dla nich znaczy. I wypowiadali się chętnie. Wytworzył się dialog, zainteresowali się, z jakiego artykułu pochodzi rulonikowy cytat. Zabrali ze sobą egzemplarze pisma. Tym sposobem dziewczyny osiągnęły zamierzony cel.

M.S. – Czyli od skrótowości do rozwinięcia, a na nas działa skrótowość, która jest skrótem rozwinięcia.

O.L. – Trzeba dążyć do tego, żeby ludzie docierali do piękna.

P.K. – Do piękna słowa.

O.L. – A nie do schyłku słowa.

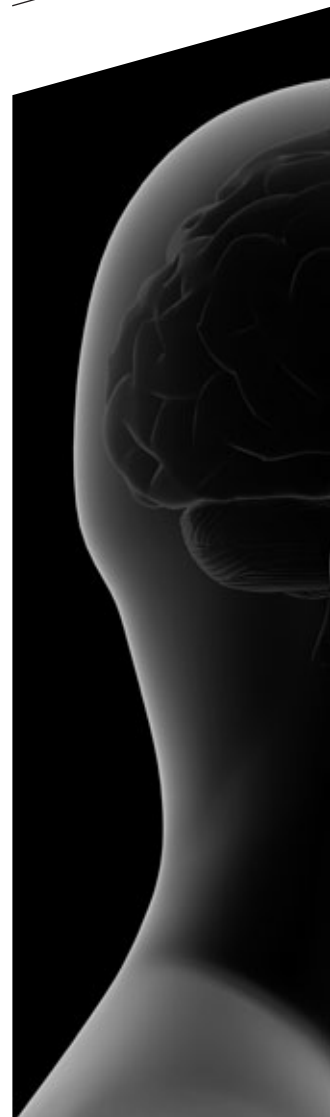
M.S. – Czasem za pomocą intrygi.

O.L. – Jakiś rodzaj intrygi można kreatywnie wymyślić dla każdego opornego, który zapomniał o pięknym słowie.

M.S. – Myślę, że nasze pismo powinno być...

O.L. – Spiskiem na rzecz słowa.

Trudno jest
zanurkować w treść
czytanej powieści,
ślizgamy się po jej
powierzchni.





BOGDAN ZARĘBA
Przeżyłem już zdecydowa-
nie ponad pół wieku.
O sobie pisać nie potrafię.
Mówię zazwyczaj wtedy,
gdy mam coś istotnego
do powiedzenia.
Od około dziesięciu lat
piszę o muzyce, zwłaszcza
o rocku progresywnym
i artrocku.
Jestem recenzentem
jednego z portali interne-
towych, który zajmuje się
tematyce między innymi
muzyką rockową. Moje tek-
sty to relacje z koncertów,
recenzje płyt i felietony.

PERFECT / Olsztyn, Hala Widowiskowo Sportowa URANIA / 12.03.2015

Zespół PERFECT w 2015 roku obchodził swoje 35-lecie istnienia pod hasłem *Wszystko ma swój czas*, występując w wielu miastach Polski, a także za granicą; w sumie ponad czterdzieści razy. Rozpoczęli trasę 12 lutego na Torwarze, zakończyli z początkiem grudnia.

Jednak zacznijmy od samego początku. Było to w czwartek 15 stycznia bieżącego roku. Późnym wieczorem zatelefonowała do mnie moja córka Kasia z wiadomością, że w Olsztynie w Hali Urania w dniu 12 marca ma występować PERFECT i czy bym się z nią nie wybrał. Czemu nie. Swojemu dziecku (choć już dorosłemu) w takich sytuacjach się nie odmawia. Tym bardziej, że byliśmy już razem na wielu tego typu widowiskach. Teraz też jedziemy.

No i właśnie jesteśmy w Uranii. Najpierw zatrzymujemy się przy kramiku z płytami. Jak zwykle dylemat. Co kupić i niewiele wydać, a do tego być zadowolonym. Tak się niestety nie da. Kupujemy więc dwa kompakty. Do każdego dołączana jest pamiątkowa torba z logo zespołu. Oczywiście ojciec płaci, czyli ja. Dla Kasi najnowszy album *Da Da Dam* dla mnie rzecz jasna pierwszy *Perfect* – dopiero niedaw-

no dostępny na CD. Gdy zajęliśmy miejsca na widowni zacząłem się rozpakowywać i szykować aparat fotograficzny. Przy okazji spostrzegłem, że nie ma w plecaku mojej zimowej czapeczki ze znakiem firmowym pewnego zagranicznego artysty zwanego Fishem, którą nabyłem jesienią ubiegłego roku podczas jego występu. W niej właśnie przyjechałem. Szukamy obydwójce, wracamy do wejścia, niestety czapki nie ma. Tak, to nastrój mam już z głowy. Jestem na siebie zły i straciłem humor.

Tymczasem rozpoczęło się punktualnie o 19.00. Scena została pomysłowo urządzona, bo perkusistę ze swoim sprzętem umiejscowiono we wnętrzu maski przystanku autobusowego o nazwie PERFECT 01. Pozostali artyści zajmowali miejsca na zewnątrz i wyglądało trochę tak jakby czekali na autobus. Z tyłu widać wielki telebim z obrazem i dźwiękami ruchu samochodowego o dużym natężeniu. Jak wspominałem trasa nosiła nazwę *Perfect Akustycznie*. Polegało to na tym, że Darek Kozakiewicz oraz Jacek Krzaklewski używali swoich gitar w wersjach akustycznych, natomiast sekcja rytmiczna była normalnie nagłośniona.



Zespół rozpoczął spotkanie z wypełnioną po brzegi halą (były też miejsca bliżej sceny na dostawionych krzeselkach) od utworu *Lokomotywa z ogłoszenia*. Potem zabrzmiało *Idź precz*. Dalej oczywiście cała gama przebojów. Początkowo po prawej stronie estrady wyświetlał się ekran, lecz po dwóch piosenkach nagle zgasł i już do końca widowiska nie działał. Ze swej legendarnej pierwszej „białej” płyty formacja przedstawiła w sumie cztery piosenki. Oprócz wymienionej *Lokomotywy...*, jeszcze: *Chcemy być sobą*, *Bla, bla, bla*, *Ale w koło jest wesoło*. Natomiast z najnowszego wydawnictwa zaprezentowali dwie perełki, to znaczy: *Odnawiam Dusze* i *Wszystko ma swój czas*, a także instrumentalny *Speedy Tune* z solówką perkusisty Piotra Szkudelskiego. Nie zabrakło też *Autobiografii* i *Kołysanki dla nieznajomej*. Zabrzmiało też *Raz po raz* i być może jeszcze jakieś nagranie, którego nie zapamiętałem. Grzegorz Markowski imponował wokalną formą i jednocześnie świetnie prowadził konferansjerkę, do której czasami włączali się pozostali muzycy. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że dzisiaj (to znaczy w dniu koncertu) obchodzi on imieniny. Publiczność odśpiewała

mu krótkie „sto lat”, po którym solenizant zapewnił, że wypije za każdego z widzów po kropelce. Bis był jeden i zawierał zawsze popularny numer do słów Bogdana Olewicza – *Niepokonani*, dalej skróconą wersję *Jeszcze nie umarłem*, a na koniec dosłownie jeden wers z kultowego kawałka *Nie płacz Ewka* (wiadomo, też z pierwszego albumu) zaśpiewany a capella przez wokalistę. Wszystko trwał równo półtorej godziny.

Na koniec imprezy wyraźnie poprawiło mi się samopoczucie, bo po pierwsze koncert dobry, a po drugie zagubiona czapka się odnalazła. Czekala na mnie na stoisku z płytami. Wypadła mi gdy wchodziliśmy na salę, a pan prowadzący sprzedaż ją przejął i pilnował, aby trafiła do mnie z powrotem.

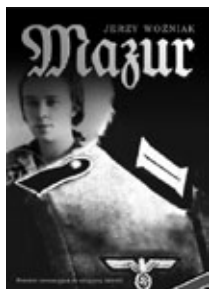
Motto tegorocznej trasy koncertowej zespołu jest raczej wymowne, bo formuła *Wszystko ma swój czas* skłania do refleksji, a jednocześnie jak się może wydawać zapowiada schodzenie ze sceny muzycznej formacji PERFECT. Na pewno opuszczą ją niepokonani, ale czy to nastąpi już teraz. Raczej w to nie wierzę, a jak będzie – okaże się wkrótce w niedalekiej przyszłości.



fot. Katarzyna Trzcńska

BIBLIOTEKA POLECA

MIEJSKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
w Szczytnie
ul. Polska 8

**Woźniak Jerzy: Mazur**

Wydawnictwo: AKCES 2015

Akcja książki dzieje się w Szczytnie i powiecie szczycieńskim na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Jest to powieść historyczno-sensacyjna z wątkiem miłosnym. Nie znaczy to jednak, że jest to książka lekka w odbiorze. Pod podszewką wartkiej akcji znajdują się w niej kwestie ważne i trudne. Autor mierząc się z przeszłością Mazur unika banału i moralizowania. Opisuując losy głównego bohatera Georga Podborskiego pokazuje nam, jak naziści zawładnęli umysłami Mazurów.

**Sławomir Koper: Zachłanne na życie**

Wydawnictwo Czerwone i Czarne 2015

Najciekawsze kobiety swojej epoki: Agnieszka Osiecka, Małgorzata Braunek, Kalina Jędrusik, Elżbieta Czyżewska w opisie najpoczytniejszego polskiego autora biografii.

W Złotej kolekcji Sławomira Kopra czytelnik znajdzie nowe, nieznane szczegóły z życia bohaterek.

Fascynująca lektura i dla fanów twórczości tego autora, i dla tych, którzy po raz pierwszy sięgną po jego książkę.

**Wekwerth Rainer: Przebudzenie labiryntu**

Wydawnictwo: Ya! 2015

Grupa nastolatków nie ma pojęcia, jak znalazła się w innym wymiarze. Otaczają ich ściany wymagowanego labiryntu. Jeden fałszywy krok może zmienić ich los, błędny wybór zaprowadzić w ślepy zaułek. Kto z nich przetrwa i zdąży wydostać się z labiryntu, który zdaje się śledzić każdy ich ruch? Labirynt nie daje odpowiedzi, stawia tylko pytania...



Miejska Biblioteka Publiczna w Szczytnie wzięła aktywny udział w projekcie organizowanym na Warmii i Mazurach o nazwie „I ty możesz zostać bajkopisarzem”, którego pomysłodawcą i inicjatorem był publicysta, literat oraz autor bajek dla dzieci Marek Samselski.

W ramach projektu w Oddziale Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej odbył się cykl warsztatów dla uczniów szczycieńskich szkół podstawowych, organizowanych pod kierunkiem Marka Samselskiego. Podczas spotkań dzieci wymyślały fabułę, postacie, morał a także tworzyły ilustracje do własnej bajki.

Pierwsze warsztaty odbyły się dnia 20 października 2014 r. dla uczniów SP Nr 6 w Szczytnie.

Efektem końcowym była wspólnie napisana bajka pt. „O tym, jak królik Stefan trafił do Leśnoteki”.

W kolejnych warsztatach, dnia 19 marca 2015 r., udział wzięli uczniowie kl. III „d” SP Nr 3 jego rezultatem było powstanie bajki „O tym, jak Rolka w portkach trafiła do szewca Macieja”.

Na zakończenie projektu została wydania antologia bajek najmłodszych bajkopisarzy Warmii i Mazur pt. „Pora na bajkę znad jeziora”. Z tej okazji, dnia 21 maja 2015 r. w Oddziale Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej w Szczytnie, odbyło się Spotkanie z Bajką Ożywioną. Zaproszeni autorzy, rodzice i nauczyciele mieli okazję uczestniczyć w inscenizacji teatralnej opartej na motywach wydanej książki.

„Mała Moskwa”

– czyli co robią żony, gdy ich mężowie są w pracy ?

Po obejrzeniu filmu odpowiedź wydaje się oczywista. To znaczy w kwestii, co robią żony. Nie jest to tylko kolejny kinowy obraz pokazujący odwieczny problem zdrady i namiętności. Reżyser filmu, Waldemar Krzystek w niebanalny sposób pokazał, co może wydarzyć się w życiu każdego z nas, gdy tylko zaistnieje odpowiednie okoliczności.

Przeciętny obywatel pracuje i nie ma czasu na to by przeżyć coś niesamowitego, co spowodowałoby drżenie serca. A co człowieka najbardziej ekscytuje? Pragnienie i pożądanie tego, czego nie może mieć, co wydaje się nieosiągalne. Choćby krótki romans z tą piękną z naprzeciwka! Albo – och, mdlałabym co chwilę w jego mocnych ramionach.

Rzecz jasna nikt oficjalnie nie składa takich wyznań; każdy powie, że kocha swoją rodzinę, męża, żonę, więc nie potrzebuje żadnych innych doznań. Nie ma co się jednak oszukiwać, jesteśmy tylko ludźmi, w których cicho sobie drzemia pragnienia, o których nasi partnerzy nie mają zielonego pojęcia. Rzecz oczywiście nie dotyczy wszystkich, ale z pewnością większości.

Nie ma też znaczenia epoka i system w którym żyjemy. Przykładem niech będzie fabuła filmu pod tytułem „Mała Moskwa”. Akcja toczy się w 1968 roku, w Legnicy. Do miasta, a właściwie radzieckiej bazy wojskowej przybywa Jura Swietłow (Dmitriy Ulyanov), radziecki pilot myśliwców. Gdyby to był film w stylu „Rambo” albo „Kloss”, to by wystarczyło, ale Jura zabrał również ze sobą żonę, Wierę Swietłową, którą zagrała urokliwa rosyjska aktorka Swietłana Chodczenkowa. Zaczynała jako modelka, a na pewno dobrze się stało, że zrezygnowała z wybiegu. Jest piękną kobietą o delikatnej urodzie.

Słowiańskie piękno Wiery nie podlega dyskusji, zatem tylko było czekać, aż pojawi się amant. Reżyser postanowił, że będzie nim polski oficer Michał Janicki, w którego postać wcielił się Lesław Żurek. Nie zdradzając fabuły, zaryzykuje stwierdzenie, że film przed rokiem 1989 raczej nie miałby szans na szeroką dystrybucję, wszak poprawność polityczna musiała obowiązywać również w przestrzeni sztuki. Zastanawia mnie jednak, czy dziś podobna uwspółcześniona wersja filmu też nie mogłaby się znaleźć na cenzurowanym, bowiem jeśli ktoś myśli, że żyjemy w dobie wolności, to gratuluje..., naiwności!

Powróć do filmowych bohaterów. Wierę i Michała, połączyła najpierw sztuka. Trudno się oprzeć,

no i możemy sobie wyobrazić, co dzieje się z wrażliwym mężczyzną, patrzącym na piękną kobietę, która w niezwykle sposób śpiewa po polsku piosenkę Ewy Demarczyk „Pocałunki”.



Między bohaterami pojawia się słynna chemia namiętności. Pożądanie jest siłą, nad którą nie ma żadnej kontroli. Zresztą, gdyby była, to ziemię już dawno przestałby zaludniać gatunek homo sapiens. Sprzyjającą okolicznością była postawa męża Wiery. Ten bezustannie przebywał w swoim myśliwcu, a ponieważ akcja toczyła się w 1968, latał nader często nad zbuntowaną Czechosłowacją. Osamotniona Wiera szuka swojego miejsca na ziemi. Jura w porę się orientuje, że jego piękna ukochana oddała bez reszty swoją duszę i ciało polskiemu oficerowi. W całej tej dramatycznej sytuacji postawa Jura mnie zaskoczyła. Mimo cierpienia, daje jej możliwość wyboru. Pewnie feministki powiedziałyby, że o to prawdziwy mężczyzna dający swojej kobiecie wolność. Jednakowoż fani patriarchy powiedzieliby, że Jura nie zasługuje na bycie mężczyzną. Tak czy owak, postawa radzieckiego pilota jest nie tylko zaskakująca, jest nawet szokująca. Gdy pojawia się owoc namiętności Wiery i Michała, jakim jest dziecko, odnosi się wrażenie jakby Jura był w stanie zaakceptować je jak własne. Ta postawa, to wyższy poziom postrzegania otaczającego świata. Jura nie zachował się jak typowy samiec, któremu inny samiec odbiera partnerkę. Myślę, że z całej tej trójki tylko Jura naprawdę kochał.

A jak jest w otaczającej nas rzeczywistości? Pracujemy od rana do nocy na dobrobyt domu. Budujemy domy, rodzimy i wychowujemy dzieci, zaciągamy kolejne kredyty i nie mamy czasu by przytulić żonę, by poczuła, że jest kochana i pożądana. A zabiegana przez codzienne szare obowiązki żona, partnerka, nie ma czasu, chociaż czuje taką potrzebę, by po raz enty zafascynować męża. Gdzieś w odwrocie jest sztuka permanentnego uwodzenia męża, żeby miał szansę znowu zakochać się we własnej żonie. Podobnie dzieje się z mężczyznami. Jedyne, co nam pozostaje, to oddawanie się marzeniom i pragnieniom, a gdy pojawi się realne zagrożenie... wtedy trudno jest zatrzymać pociąg zwany – pożądaniem.

„Mała Moskwa” – to piękny melodramat, z akcją oddaloną o dekady czasu, w swej treści wciąż potwierdzający jak nieprzewidywalne jest życie.



JAROSŁAW CHOJNACKI

Pieśniarz, muzyk, kompozytor.
W wolnych chwilach fotografuje, specjalizując się w kobiecym portrecie. Uprawia wspinaczkę wysoko-górską. Uwielbia dobre inteligentne kino.
Marzy o posiadaniu i lataniu wiatro-lotem. Podróżnik i miłośnik mazurskiej przyrody.

NA.

PISMO
KULTU
RALNE
NR 01/2015

RECENZJE



ARTUR URBAŃSKI

„Wgląd”

W lustrze wszechświata
z tysięcy oczu Welesa
jest dwoje moich
i gdy szeleści
zasuszony w sercu wrotycz
za moimi plecami
tańczy zawsze ten stary szaman
i pali piołun przed podróżą...

Więc jeszcze jedno spojrzenie
na jeziora wyraju,
a właśnie dzieją się
jutrzejsze sny
i w zamglonym świecie,
którego dni jak krople rosy
ocieram z czoła
(coraz szybciej i coraz więcej)
wracając wśród kruków
i żurawi
dostrzegam kątem oka
jak łopoczą koszule bogów
wyszywane wciąż od nowa
marzeniami...

„Na wassariskan preilīgisan”

Dumais wītra, wītra pīdais
majjan klantīsenin
pēr dēinan be pēr naktin,
strūjais dūms, dūms immais
majjans supnans Dēiwamans
pirzdau tenēisan lāuksniskans akkins...

Bīgais appi, appi tū wāīda
kāi ristun pagaūsenin
sēn wangan
as tentīsei, tīt kāi tenēi
Zemē, Saūli
be Undan.

**To drzewo
tak właśnie wygląda.
Pasuje do wydarzeń
przeszłych, obecnych
i przyszłych.**

„Znaki”

Na szczycie
cementarnego świerku
przysiadł kruk.
Zagadał do mnie,
kilka razy krakaniem
płoszył wiatr.
I nic się nie stało!

Dym z palenisk krąży
jak mgła nad mogiłami.
Słucham echa kroków
w alejce.
Lecz nic się nie dzieje !

Mżyście i szaro
spadają liście
pod moje nogi.
Rozpaliłem ogień.

Wracam szczęśliwy.
Chyba nic się nie stanie...

Szczytno 13.11.2011 r..

„Pazurzyca i łapki”

Usłyszała pazurzyca
rozmowę dwóch łapek:
ktoś rabuje naszą zdobycz
z tych oto pułapek.

Pazurzyca metalowa
ostre ząbki miała,
wnet się zwinnie
po tych łapkach
chwacko przejechała...

Wiszą łapki
nad płomieniem
i piszczą cichutko:
nie dość że nam
zżarli obiad
to nas zjedzą jutro.

Morał z tego
moi mili
jak dym nad ogniskiem:
lepiej szukać winnych cicho
niż zwiśać w dół pyskiem...

Szczytno 09.01.2011 r.

„Ofiarne”

Jest krew olchy
moje ręce
krew niedźwiedzia
moje serce
chciałbym więcej
trochę gwiazd
jakiejś nocy
niezwierzęcej
ale nie ten czas...
i w uśpieniu
w krzyżu cieniu
nucę sobie
mierzwiać sierść:
jestem, jestem
póki co...
a kim jest śmierć ?

Szczytno 22.11.2011 r.

„Moja piękna siostra”

Spotykam swoją siostrę
rano,
spotykam swoją siostrę
wieczorem...

Kosmyk włosów
bardzo długo spada
do kamiennej studni.

Na dębową gałązkę !
Na oko zaskrońca !

Niech Ci księżyc
nie mąci w zwierciadle...
Niech Ci z orzecha
światło błysnie...

Z siostrą pod rękę,
koniec udręki.
Topór Boga
błyszczący nad urwiskiem
i białe konie rżą...

Szczytno 03.04.2011 r.

„Niesamowite drzewo”

Po dwie kawki
na każdej gałęzi,
a na ostatniej – on...

One spokojnie śpią.
On kołysze się
w takt.

Takt wybija czarny dzieciół,
werble wślizgują się
natarczywie
pod mój kaptur.

Kto to kołysze się ?
To ja, za chwilę ?
To on, za miesiąc ?
To ktoś inny, kiedyś ?

To drzewo
tak właśnie wygląda.
Pasuje do wydarzeń
przeszłych, obecnych
i przyszłych.

Na razie mówię : pas.

Los właśnie
tasuje karty.
Niebo ma minę
zawziętego pokerzysty.

Przelatujący myszołów
jest szramą na policzku
jednego z moich bogów.

„Na Zrównanie
Wiosenne 2005”

Wiej wietrze, wietrze nieś
moje zakłęcie dla dnia
i dla nocy,
płyn dymie, dymie weź
moje marzenie bogom
przed ich gwiazdne oczy...

Bież rzeko, rzeko wiesz
jak związać początek z końcem,
obym trwał, tak jak trwa
ziemia, woda i słońce...

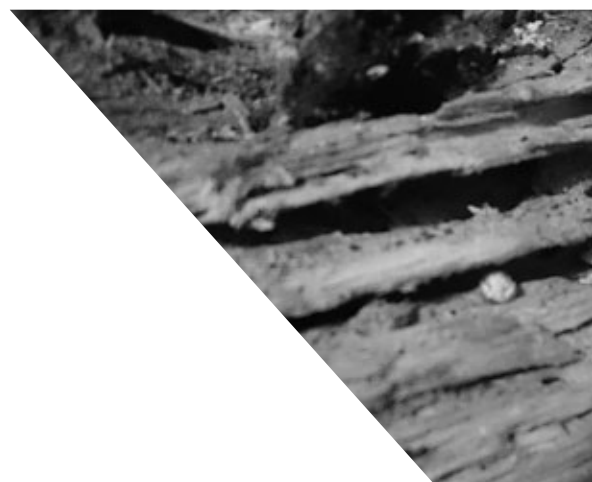
„Niepodległościowy sen”

Kruszą się schody
pod stopami
nie nadążam już
za tobą...
Z kolczastego drutu
uwalnia mnie
jednooki nieznajomy.
Więcej lasu,
więcej żółtych liści !
Tańczą króliki
i wiewiórka ściska się
z lisem.
Kruków nie słuchałem
zapatrzony gdzieś
w głębinę
zielonych jezior...
Obudziłem się wreszcie ?

Szczytno 10/11.11.2014 r.

„Nic”

Po raz pierwszy
udało mi się wejść
dwukrotnie do tej samej wody,
choć myślałem
że do trzech razy sztuka,
bo ściskałem w dłoni
czterolistną koniczynę
a nad horyzontem
lśniła akurat
pięcioramienna gwiazda
budząc szósty zmysł...
Czułem się niby
w siódmym niebie,
ale nie był to
ósmo cud świata,
wszystko zaraz zmyła
dziewiąta fala...



ANDRZEJ LEWICKI ukończył Studium Teatralne przy Teatrze Jaracza w Olsztynie z zakresu reżyserii i animacji kultury. W Lubawie mieszka od 1972 r. Działacz Towarzystwa Kultury Teatralnej Oddział w Olsztynie. Nagrodzony za całokształt pracy w 2007 r. w 100 rocznicę istnienia TKT dyplomem uznania z Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olsztynie.

MISTERIUM

Misterium – jeden z podstawowych rodzajów średniowiecznego dramatu religijnego i opartego na jego podstawie widowiska. Wywodzi się jednak ono z tradycji kultury ludowej oraz klasztornej. Łączyło treści religijne – dydaktyczne ze świeckimi elementami realistycznie – obyczajowymi.

W Lubawie pomysł na realizację takiego widowiska zrodził się siedem lat temu. Jest to przedsięwzięcie wspólne: Parafii św. Jana Chrzciciela i Michała Archaniola oraz Miejskiego Ośrodka Kultury. Połączenie współczesności z realistycznym światem sprzed 2000 lat, przyniósł efekt. Muzyka i tekst współczesne natomiast stroje i wydarzenia bardzo odległe. Jednak ta udana symbioza przyciąga rzesze widzów (jeden raz ogląda widowisko około 1000 osób). W tym roku Misterium Męki Pańskiej dodatkowo zostało wystawione w Iławie również z dużym powodzeniem. Co tak naprawdę przyciąga tak dużą ilość widzów? Bo przecież treść każdorazowo jest taka sama, scenografia podobna, postacie identyczne. Misterium nie posiada fabuły o wyraźnie zaznaczonym związku przyczynowo-skutkowym. Powiązania pomiędzy poszczególnymi scenami mają charakter symboliczny i alegoryczny,

odslaniając głębszy, duchowy sens zjawisk. Jezus przewraca się pod ciężarem krzyża, wtedy następuje cisza-głos narratora – „dźwignij się Chryste przecież o moje teraz walczysz życie”, każdorazowo przynosi nieoczekiwaną reakcję widowni, a do tego jeszcze brzmi piękna muzyka Marcina Stycznia.

Akcja rozgrywa się symultanicznie. W Poszczególnych scenach przez cały czas odgrywania spektaklu można obserwować znajdujących się w nich bohaterów. Świat Misterium odwzorowuje pełnię świata realnego. Bo przecież zabawa Jezusa z dziećmi (najmłodsze ma trzy latka) – to wyciskacz łez u mam i babć na widowni. Oczywiście jest to przedsięwzięcie zbiorowe światło realizuje Mateusz Żuchowski, realizacja muzyki i efekty specjalne to Szymon Truszczyński, choreografia – Bożena Nowakowska, scenografia – Krystyna Rucińska kierownictwo produkcji – ks. Michał Kalitta, scenografia i reżyseria – Andrzej Lewicki. Wreszcie 96 osobowa grupa artystów – amatorów występująca na scenie. Misterium Męki Pańskiej w tym roku p.t. „Zobacz a uwierzysz” wystawione było w Lubawie w sobotę poprzedzającą Niedzielę Palmową oraz w Niedzielę Palmową – i tak będzie w 2016 roku – zapraszamy.





KIZIA

NA.
PISMO
KULTU
RALNE
NR 01/2015

PROZA

Sukienka

Zmierzchało, w powietrzu czuć było nadchodzącą burzę, zapach świeżo koszonej trawy złamany był lawendą i maciejką. Gdzieś tam rozpałały się lampy oświetlając twarz Leny biegnącej boso po wilgotnym, chłodnym piasku. Sukienka swobodnie spływająca po smukłej talii łopotała z każdym jej krokiem. Usta zasychały od języków wiatru. Suche otwierały się w donośnym głębokim oddechu przerywanym jękiem, prowokowanym zmęczeniem i bólem stóp okaleczonych ostrymi szczątkami muszli morskich. Fale burzyły się, rosły jak falbany tiulowej sukni, przerzucane przez ostre powiewy wiatru. Lena biegła do domu świadoma przemijającego czasu. Myśli kłębiły się mętnie. Czuła przerażenie i strach. Czekający w domu ojciec zniecierpliwiony długą nieobecnością córki stał jej przed oczami niczym posąg, monstrum, nieugięty, pełen agresji i złości. Pohukiwanie sów nie przerywało potoku myśli. Zaabsorbowana własnymi emocjami nie zauważyła obserwujących jej z dala rosnących młodzieńczych postaci. Trzech gołowąsów ściskających w dłoniach butelki z trunkiem zachwycających się kształtami uwydatnianymi przez modelującą sukienkę wiatr. Zdecydowani poznać bliżej piękno dziewczęcia ruszyli za nią pewnym, zdecydowanym krokiem. Skrzywione alkoholem twarze chłopców nabierały dziwacznych kształtów. Na przemian gromko śmiali się, to pokrzykiwali chcąc zainteresować dziewczynę rzeźbami swych nagich torsów. Lena przyspieszyła kroku zaniepokojona zburzoną ciszą. Jej sukienka czepiana przez wystające korzenie drzew opóźniała tempo. Zmęczenie powodowało nasilający się metaliczny posmak w ustach, nogi odmawiały posłuszeństwa, plątały się w pośpiechu. W oczach zapadała ciemność...

Jej upadek podniósł z ziemi ułożony harmonijnie przez wodę piaszczysty pył. Długie, blade włosy okryły szczelnie jej twarz. Z nosa potoczyła się ciemna strużka krwi. Napastnicy przyspieszyli kroku, z każdym metrem ich pierwotne zamiary skraplały się potem. Z grubych ciężkich chmur potoczyły się krople ciepłego deszczu. Spadały rytmicznie na zmęczone ciało dziewczyny rozmieniając na cieńsze strużkę krwi. Robert jako pierwszy dopadł omdlałą piękność. Po jego ciemnych włosach potokiem spływał deszcz, mącąc widoczność. Uwiedziony urodą nastolatki uchwycił delikatnie acz zdecydowanie jej głowę, kładąc na swych upiaszczonych kolanach. Ciężką dłonią zgarnął z jej twarzy pajęczynę mokrych włosów, odsłaniając pełnię urody, by za chwilę mogli podziwiać ją pozostali towarzysze zabawy. Na twarzy Leny rysowała się niewinność, delikatność i piękno bożego stworzenia. Strach zacisnął ich skronie,

twarze skrzywiły się w grymasie winy i potępienia, alkohol ustąpił rozsądkowi. Brunet twardymi palcami pospiesznie wcisnął kilka klawiszy w telefonie...

- Hallo... - wyrwało się jak sparaliżowane przez zacisnięte gardło... - ona oddycha ale jest nieprzytomna, pomocy...

Deszcz padał coraz silniej. Młokosy okryli dziewczynę przemoczoną, ciężką, dżinsową kurtką. Wskazówki leniwie stąpały po cyferblacie. Zdawało się, że celowo nieśpieszą. Dźwięki i światło karetki zbliżało się niosąc nadzieję winowajcom. Koła podnosiły grudy piachu. Lena nie dawała oznak życia. Złowieszczy dźwięk wysuwanych noszy i szybka akcja pielęgniarzy nie uciszyła emocji chłopców. Szczupły mężczyzna w białym kitlu przeklął pod nosem. Obrzucił nastolatków oskarżycielskim spojrzeniem. Zaabsorbowany podjętymi czynnościami niekontrolowanie delikatnie i gorączkowo poprawiał poszarpaną sukienkę, na której piach zatracił kolory, przykrywając zniewalające wdzięki dziewczyny...



PAULINA
BRZOZOWSKA

Niefajnie jest być fajnym

Jakiś czas temu byłam na warsztatach wokalnych. Nikogo nie znałam, same nowe twarze. Najwyraźniej nie byłam jedyną osobą w takiej sytuacji, gdyż organizatorzy pomyśleli o komforcie psychicznym uczestników i pierwszego wieczoru zorganizowali tzw. wieczorek zapoznawczy. Muszę przyznać, że chociaż takie inicjatywy mają wzniosły cel, samo poznawanie ludzi w ten sposób jest dla mnie krępujące. Z mojego doświadczenia zazwyczaj wygląda to tak, że siada się w dużym kółku i każdy uczestnik „zabawy” musi się przedstawić i opowiedzieć coś o sobie. Czuję się wtedy jak na jakimś meetingu grupy AA. Tym bardziej, że „reklamowanie” siebie najczęściej odbywa się po kolei niczym zapalony lont, na którego końcu jestem ja i moje serce, tykające niczym bomba. I im bliżej mojego „wystąpienia” tym bliższa jestem zawału. A co za tym idzie, nie słucham już tak uważnie tego, co mówią poprzednicy, tylko skupiam się na tym, co powinnam powiedzieć ja.

Być może organizatorzy warsztatów mieli podobne odczucia i oszczędzili na spotkaniu tego typu stresów. Bawiłam się naprawdę dobrze i przy okazji poznawałam innych oraz mimochodem opowiadałam o sobie (czyli tak, jak powinno być!). W jednym z zadań zostaliśmy podzieleni na małe grupki. Celem było narysowanie drzewa i napisanie w miejscu pnia cech wspólnych dla całej grupy a w rozgałęzieniach tego, co nas od siebie różni.

Na początku było całkiem niezłe. Wszyscy lubiliśmy muzykę (w końcu to były na warsztaty muzyczne), potem jakoś to szło,

ale w rachunku ostatecznym wyszło, że więcej jednak w naszej gromadce było cech indywidualnych, niż wspólnych. Nastąpiła pełna skupienia cisza.

- Ej, ale wszyscy jesteśmy fajni, to nas łączy!

- odezwała się jedna z dziewczyn

- Fajni? Ja nie chcę być fajny. To jest nijakie słowo – stwierdził jedyny chłopak w naszej pięcioosobowej grupie.

I powstała mini dyskusja, w której ja z kolegą byliśmy przeciw wpisywaniu tego słowa, za to pozostałe trzy dziewczyny jak najbardziej za. Bo co tu kombinować, skoro mamy na to zadanie tylko 5 minut? Fajny to fajny, słowo pozytywne, to piszemy! Pozytywne? No niekoniecznie...

Nie cierpię słowa „fajny”. Kojarzy mi się z bylejałością. Fajny znaczy nijaki. Jak ktoś pyta: „jak było w szkole” i dostaje odpowiedź: „fajnie” – to od razu wiadomo, że to jest na odczepnego. Fajnie, czyli ani dobrze, ani źle, po prostu; nie ma o czym gadać. Jeśli ktoś kupi sobie wymarzony samochód, którym jest zachwycony, nie będzie określał go po prostu słowem „fajny”.

Dlaczego sami sobie zubożamy język? Z lenistwa, wolimy iść na łatwiznę, bo „po co się produkować”, jak można tyle rzeczy określić jednym słowem. Fajny chłopak, fajna stacja radiowa, fajna wycieczka, fajne naleśniki i fajna bransoletka. No, fajnie, nie ma co.

Chłopak może być interesujący, stacja radiowa rewelacyjna, wycieczka oszałamiająca, naleśniki wyborne a bransoletka przepiękna. Czy nie brzmi lepiej? Doskonały, udany, sympatyczny, fascynujący, wspaniały, czarujący, elektryzujący, intrygujący, komfortowy, świetny, genialny, klawy, odlotowy, kapitalny... mogłabym wymieniać jeszcze wiele wyrazów zastępczych dla tego słowa, bowiem słownik wyrazów bliskoznacznych dostępny on-line pokazuje, że „fajny” ma co najmniej czterdzieści synonimów.

Polską różnorodność słów określających pozytywne odczucia wrzucamy do umysłowej szufladki z napisem „fajne”, tym samym zubożając język, o którego istnienie walczyli nasi przodkowie. Jestem pewna, że ograniczając używanie „fajnego” sprawimy, że zaczniemy postrzegać świat, jako bardziej ekscytujący. Być może także poprawi się nasza komunikacja z otoczeniem, gdyż będziemy jaśniej precyzować swoje doznania. Ciężko źle zinterpretować stwierdzenie, że coś, co było „pierwsza klasa” nie przypadło nam do gustu. No i – czy „bajeczny” nie brzmi bardziej atrakcyjnie niż „fajny”? Oczywiście, że brzmi, dlatego nie ma żadnego batona, który nazywałby się „fajny” ;)

Mam nadzieję, że użyłam tego wyrazu wystarczająco dużo, żeby wszystkim zbrzydło i wykasowali go ze swojego słownictwa (albo chociaż ograniczyli). No, i gitara gra !





rozmowa warsztatowa

Marek Samselski – Niedawno otrzymałeś zaproszenie z Gdańska do udziału w wystawie „Pochwała prowincji”. Czujesz się malarzem prowincjonalnym?

Andrzej Cisowski – Mieszkam i maluję na prowincji. Tutaj jest mój warsztat pracy. Kupiłem tę posiadłość w Targowie, bo poczułem, że to będzie moje miejsce.

M.S. – I intuicja cię nie zawiodła.

A.C. – Nie zawiodła. Jak widzisz, jest tu stodoła służąca mi za pracownię. Maluję duże formaty, więc jej gabaryt jest odpowiedni. Jest też obora, którą też przerobiłem na pracownię. W niej jest miejsce na prowadzenie mojej Akademii Malarstwa, warsztatów dla dzieci i młodych adeptów sztuki. Kilka dni temu przyjechała tu grupa dzieciaków z Dźwierzut. Tu jest klimat do pracy. I do odpoczynku. Tu włącza mi się myślenie abstrakcyjne, do którego niezbędny jest pewien poziom spokoju wewnętrznego. Bez tego trudno przystąpić do aktu malowania. A malując korzystam z warsztatu, który noszę w głowie. To są doświadczenia, reminiscencje, asocjacje, wnioski – wszystko potrzebne, gdy przystępuję do pracy, zainspirowany czymś albo kimś.

M.S. – Jeździsz po świecie. Często odwiedzasz Niemcy. Tam studiowałeś, masz tam wielu przyjaciół. Wystawiałeś swoje prace w Nowym Jorku, w Londynie, Amsterdamie, Bazylei. Może jesteś jednak światowcem, nie prowincjuszem?

A.C. – Jest mi obojętne, jak mnie nazywają. Lubię spotykać się z ludźmi sztuki na salonach, jeździć na wystawy i koncerty. Wracam z bagażem wrażeń i energii do swojej pracowni, gdzie mogę się wyciszyć. I malować.

M.S. – I czytać. W pokoju bibliotecznym, w którym użyczasz mi gościnny, trudno zasnąć. Ściany są pełne książek, co jest rzadkością, nie tylko w wiejskim domu. Są albumy, dzieła krytyków i historyków sztuki, filozofów, literatura piękna. W zeszłym roku zdenerwowałeś się, że zaginął gdzieś „Ulisses” Joyce’a.

A.C. – A tak, wypożyczyliśmy w końcu z Biblioteki w Dźwierzutach. Chcieliśmy jeszcze raz przeczytać monolog wewnętrzny Molly, bo pisałem tekst „W strumieniu świadomości” – monolog malarza. Wygłosiłem go potem z łódki, grając ze sobą w szachy, podczas mojego performance. To było w ramach kolejnego „Wydarzenia”, jakie co roku organizuję tu, u siebie. Zawsze z dobrym zespołem muzycznym i dobrą poezją.

M.S. – Ale w tym roku nie zorganizowałeś.

A.C. – Tego lata często wyjeżdżałem, miałem też sporo gości. Za to w przyszłym roku planuję Wydarzenie o nazwie „Nie bójmy się jesieni”. Będzie w wymiarze XL.

M.S. – Jak twoje obrazy. Jeden z nich ma dwa na trzy metry. Te trzy metry w pionie. Przedstawia mężczyznę z dziećmi, rok 1956 w Budapeszcie.

A.C. – Malowałem go w niskim pomieszczeniu, więc na leżąc. To pewnie tak, jakbyś ty pisał na stojąco.

M.S. – W jednym z wywiadów dla pisma Art & Business, porównałeś pracę nad obrazem do partii szachów. Postaci, które nanosisz na płótno, potrafią dyktować ci swoje warunki. Koncepcja ciągle się zmienia, do końca nie wiesz, jaki będzie jej ostateczny kształt.

(cd. str 18)





Andrzej
CISOWSKI



foto: Anje van der Linden

korzystam ze swojego warsztatu, noszonego w głowie

A.C. – To prawda, nie tylko zresztą ten „dialog” odbywa się z postaciami, czy malowanymi rzeczami. Czasem jest to rozmowa ze sobą, albo swobodny przepływ myśli na temat dobrania palety kolorów, umieszczenia brakującego szczegółu. Zazwyczaj początkowa koncepcja modyfikowana jest do samego zakończenia pracy nad obrazem. Wiem też, że niekoniecznie epicentrum malowanej sceny, musi znajdować się w ramach płótna. Dążę do tego, by ukrywać się gdzieś poza, było domyślne. Na jednym z moich obrazów, który jest teraz w olsztyńskim BWA, kilka postaci skupia swoją uwagę na czymś, co jest poza kadrem. Malując „dyskutowałem” z tymi postaciami o obiekcie ich zainteresowania. No i uznałem, że każdy z odbiorców, może przecież też podyskutować. Dałem im szansę.

M.S. – Na swoich płótnach umieszczasz sporo słów. Niekoniecznie są to tylko hasła, bo bywają fragmenty zapisków, dialogi. Mnie to się szalenie podoba, bo jestem czuły na słowa.

A.C. – Czasem tekst jest uzupełnieniem warstwy semantycznej obrazu, czasem poruszy mnie tekst znalezionych zapisków i „wklejam” je na płótno. Bywa, że są one osią tematyczną. Też jestem czuły na słowa.

M.S. – Jest taki fragment mojej piosenki „czuła na słówka, czuła na wiatr, czy będzie miłość? – tak”. Mam pytanie – czy kochasz ludzi?

A.C. – Kocham ludzi. Jestem artystą humanistą. A pytanie jest dobre, gdyż w naszym pięknym kraju jest chyba zbyt dużo ludzi nie lubiących ludzi.

M.S. – I nie szanujących.

A.C. – I nie szanujących. Czyż na przykład szanuje się artystę malarza, proponując mu za darmo



udział w wystawie, albo zapraszając do udziału w plenerze za... obraz, który ten artysta ma organizatorom pozostawić. Powiedziałem to nawiasem, dorzucając kamyk do znanego mi ogródka. Zresztą, może dlatego, że polskie malarstwo nie promieniowało swoją twórczością; Matejko malował swoje dzieła w tym czasie, kiedy malował Renoir, van Gogh, Gauguin. A Wyczółkowski od nich się uczył.

M.S. – Dużo malujesz. Twoje obrazy kupują kolekcjonerzy z całego świata. W jednej z publikacji przeczytałem pełne podziwu zdania o twojej twórczej płodności. Jesteś klasycznym homo faberem?

A.C. – Tak, pracuję nie czując się zapracowany. Powiedziałem, że korzystam ze swojego warsztatu, noszonego w głowie. W niej odbywa się również praca warsztatowa, a więc przepracowywanie obrazu, który mam zacząć malować. Tak więc pracuję, przygotowując się nanoszenie na płótno konkretyzującej się wizji. Czasem sięgam po potrzebną lekturę.

M.S. – Dopada cię czasem znużenie?

A.C. – Nie dopada. Kiedy czuję zmęczenie, odpuszczam, no i dwa dni odpoczynku mi wystarcza. A co do płodności, to zacząłem poważnie myśleć o potomku.

M.S. – Życzę ci potomka, a i będzie to zapewne z korzyścią dla polskiej sztuki. In spe.



O Fundacji „ALE”

Fundacja Alternatywnej Edukacji „ALE” działa od 2012 roku nie tylko na terenie rodzimej gminy Piecki, bo i w całym województwie. Jej najważniejszym celem jest wspieranie dzieci, młodzieży i dorosłych w poszukiwaniu i rozwijaniu swoich pasji – poprzez odkrywanie siebie na ścieżkach alternatywnej edukacji.

W ciągu 3 lat Fundacja zrealizowała kilkanaście projektów adresowanych przede wszystkim do młodzieży i jej najbliższego otoczenia społecznego. Przedsięwzięcia lokalne, regionalne i międzynarodowe były finansowane ze środków Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego, Fundacji PZU, Programu Młodzież w Działaniu, FIO Warmia i Mazury i innych. Wszystkie łączyła wspólna idea: animować, czyli ożywiać, wprowadzać w ruch, zachęcać, pobudzać, skłaniać do działania. Tym właśnie zajmują się ludzie związani z Fundacją, a owocem ich pracy stała się między innymi... Enklawa.

O Enklawie:

Enklawa Artystyczna, wyrosła pod skrzydłami Fundacji „ALE” to nieformalna grupa zrzeszająca młodzież z gminy Piecki i powiatu mrągowskiego. Jej idea jest odkrywanie i rozwijanie pasji i talentów poprzez sztukę, współpracę w grupie i wolontariat artystyczny. Razem z Enklawą swą działalność prowadzą: Teatr Insania, zespół literacki Za Maskami, grupa tancerzy poi, młodzieżowi mentorzy Akademii Enklawy, pomagający swoim rówieśnikom z trudnościami w nauce oraz Wolontariat Enklawy, wspierający lokalne i ponadlokalne wydarzenia kulturalne. Warsztaty, spektakle, festiwale, przedsięwzięcia filmowe, literackie, akcje społeczne i kulturalne - to alternatywa dla używek, agresji, izolacji oraz szansa na rozwój siebie Grupa zrzesza na stałe 15 osób w wieku od 13 do 18 lat oraz drugie tyle sympatyków.

O szkole:

W miejscowości Babięta na trasie Szczytno-Mrągowo widoczny jest z drogi budynek z czerwonej cegły. Posiada pomieszczenie gospodarcze i ogrodzone podwórko o łącznej powierzchni ponad 1000m². Do 2008 roku mieściła się tu szkoła i przedszkole. Z powodu braku funduszy miejsce od lat nie jest użytkowane i popada w coraz większą ruinę. W 2012 roku Rada i Wójt Gminy Piecki zdecydowali, aby dawną szkołę przekazać w bezpłatne użyczenie Fundacji „ALE”. To szansa, aby powstała tu siedziba Enklawy – ponadlokalny ośrodek edukacyjno-artystyczny dla młodzieży, z zapleczem noclegowym, salami warsztatowymi i pracowniami. Misja ośrodka, tożsama z misją Enklawy, zakłada realizację długofalowych programów edukacyjnych, animacyjnych i psychoprofilaktycznych dla dzieci i młodzieży, nie tylko z gminy Piecki.

O Fundacji w Szczytnie:

Jako Teatr Insania przy Enklawie Artystycznej oraz jako Fundacja Alternatywnej Edukacji „ALE” mieliśmy zaszczyt i przyjemność wystąpić podczas uroczystego otwarcia centrum logistycznego firmy NOVUM ze Szczytna – jednego z czołowych w Polsce producentów placów zabaw i kompleksowego wyposażenia oraz dostawców pomocy edukacyjnych dla przedszkoli i szkół. Tym samym rozpoczęliśmy współpracę, która już zaowocowała podziękowaniem ze strony Pana Sławomira Chmieleńskiego, Prezesa NOVUM, w postaci pierwszego okna i drzwi w naszej szkole w Babiętach.

„Leśna przygoda z filmem” to inscenizacja stworzona przez wiele głów, rąk i nóg. Pomysłodawcami postaci głównych bohaterów były dzieci ze szczytnieńskiego przedszkola i szkoły. Scenariusz ubrał w słowa publicysta i bajkopisarz Marek Samelski. Wyreżyserowaniem sztuki zajął się Paweł Kisiel, wraz z odegraniem ważnej roli narratora. Scenografię zaprojektowali i wykonali pracownicy szwalni NOVUM. Zaś głównymi aktorkami na scenie, w rolach zwierząt z Leśnej Polany, stały się aktorki Enklawy Artystycznej, uczennice mrągowskich szkół średnich.



ALEKSANDRA
LEMAŃSKA

Pisze od siódmego roku życia. Zaczynała od wierszy i opowiadań, pisanych raz do szuflady, raz na łamy czasopism i gazet. W międzyczasie napisała pracę magisterską z psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie pisze przede wszystkim projekty dla młodzieży, prowadząc od 2012 roku Fundację Alternatywnej Edukacji „ALE”.



Zespół ENKLAWA ARTYSTYCZNA



ZIEMOWIT KAYZER
Historyk, publicysta. Idąc
chodnikiem noszę w sobie
uzasadniony lęk przed cię-
żarówkami załadowanymi
drewnem.

Serial killer

Mirosław Zawór kupił coś na wzmocnienie. Wzmocnienie opiewało na 2 litry wina. To potężna butla z uchem, niczym szyja łabędzia. Aby jednak się wzmacniać pan Mirosław musiał mieć okazję. Na co dzień okazji było co niemiara, choć tym razem była to okazja autentyczna. Nowy film. A właściwie jego pilot. Bo nie był to film zwyczajny, jeno taki podzielony na setki, tysiące mniejszych filmów. Dzięki takiemu kształtowi, film żył wraz ze społeczeństwem odpowiadając na jego niewygórowane żądania – ograniczonych do center-of-home pudła – igrzysk.

„L jak Lodówka”, bo taki był właśnie tytuł, miał w założeniu opowiadać perypetie osób w hermetycznym środowisku stołecznych grabarzy. Niestety, pewien fakt nie dawał panu Mirosławowi spokoju. Mianowicie inna stacja również pokazywała pilot. I ten pilot był o 5 minut dłuższy. Pan Mirosław słusznie przyjął to jako kryterium wyboru. Nic to, że po prostu 5 minut wzięło się z dodatkowej porcji 30 sekundowych spotów reklamowych. Było oczywiście: pan Mirosław lubił reklamy. Bo pan Mirosław za wszelką cenę chciał być trendi.

Ten pilot z kolei pilotował genialną, pionierską historię pewnych kilku rodzin, których życie (nie-e, nie zamienia się w koszmara, nie) splata się w codziennych problemach społeczno-gospodarczych. Sorry, bez tych gospodarczych. No właśnie. Wyczytał już co nieco pan Mirosław o tym w czasopiśmie

Chwila dla Debila.

Pilot ten różnił się od Pirxa tym, że autor (w tym wypadku scenariusza) wciąż żył i miał się świetnie. I to w tym porównaniu jest straszne.

20:00. Mirosław Zawór rozsiadł się wygodnie na fotelu. Położył stopy na miękkim, wytrzymałym włosiu swojego dywanu (pamiętacie akcję z elektrotrymerem do dywanów). Specjalnie na tę niesamowitą okazję umył stopy znacznie wcześniej niż to konieczne, łamiąc tym samym kanon święta kupały.

Wziął gazetę, sorry, czasopismo Chwila dla Debila i spojrzął po raz tysięczny (dokładnie tak to się pisze) na uśmiechniętą okładkową Trzodę Bokobrodę. Szeroko otwarte usta waliły w umysł Mirosława z siłą rozpędzonej węglarki. Rozmarzył się, jednocześnie bębniąc palcami w zdarte oparcie fotela w takt dźwięków reklam.

I wtedy zaczęło się. Najpierw w studio przemówił jakiś, stosunkowo znany zapewne, typ w ciemnych okularach. No i ta dolna półka dolnej półki krytyki filmowej pod niebiosą jęła wychwalać zalety tego filmu wielokrotnego użytku. Przede wszystkim jednak półka zauważyła, że geniusz scenariusza i reżysera polega na tym, że serial pozbawiony jest wad.

Właśnie, bo to nie jest przecie zwykły serial. Serial killer. Projekcję tego cuda zamówiono już podobno w Watykanie, a może nawet jeszcze wyżej, jak wyczytał wcześniej Mirosław w Chwili dla Debila.



O tym też nie omieszkala napomknąć półka, niemal ze łzami w oczach.

- Dobra, jedziemy – trochę wpadł w niecierpliwość nasz bohater – choć dobrze wiedział, że najpierw pokażą soki owocowe NaBark a potem proszki do prania J&M (Jaś i Małgosia). Najpierw powinno się pokazywać reklamę soku wiśniowego, a dopiero później proszku, który doskonale wie, jak odepruć plamy z tegoż soku właśnie. Czyli ja i mój marketing.

Ruszyli. Najpierw przesłodka, jak dziewczyna wiotka (co nie znaczy, że martwa) muzyczka. Właśnie. Trudno ten chwytający za serce płas nazwać utworem. Glenn Miller zapewne przewróciłby się w wannie. Gdyby żył.

A potem pojawił się tytuł. Taki niby z literami w 3D. Grafik wziął za to pewnie ze 20 tysięcy, choć średnioorientowane 12 letnie dziecko zrobiłoby ten napis w wordzie w 2 minuty. Dlaczego dwunastoletnie? Bo apostołów było dwunastu. Proste.

O tytule wspomnę na końcu, bo nie on jest tu najważniejszy. Najważniejsze jest poczucie pana Mirosława, któremu na widok tytułu załśniły oczy. The tears were welling in his eyes, nie inaczej.

A potem było już wesoło i kolorowo, czyli problemy kilku rodzin, których życie spleta się w codziennych problemach społecznych. A problemów tych jest bez liku. W pilocie było ich sporo.

M. in. Kasia córka Stanisława kocha Tomka syna Stanisławy, ale na drodze staje im zły pirat drogowy,

który pewnego dnia upiwszy się na ostro rozjechał Tomka na plac. Szybko się wątek ten skończył, bo podobno Tomek chciał kupę forsy za rolę.

Albo pani Kazimiera na przykład. Ma syna chorego na anoreksję, opętanego wizją zagłady świata. Niby nic, ale dla scenariusza to problem pierwszej wagi. Natomiast sąsiadka pani Kazimierzy skarży się, że coś ją łupie w kręgosłupie.

Sporo miejsca poświęcił też producent wyeksponowaniu logo sponsora. Pan Zdzisław oraz pan Edward, co rano po fajki chodzą w butach najki. Pętla zamyka się, gdy Kasia - zobaczywszy buty obu panów - zakochuje się w nich bez pamięci. Mimo różnicy wieku, z którymś z panów dochodzi do zbliżenia (che,che). Owocem tak bliskiej współpracy jest. Nie zgadniecie, kto. Człowiek jak żywy (choć w rzeczywistości pojawi gdzieś koło 800 odcinka, bo na niemowlaka nie robiono jeszcze castingu).

W tym momencie – przerwa na reklamy – pan Mirosław odetchnął. Wrażenie było tak silne, że z trudem łapał oddech. Żona patrzyła na gasnącego w oczach, niemal, jak naćpanego, męża. Nudziły ją te idiotyzmy. No i zadowolona nie była, że mąż opróżnił już butlę wina do połowy. I tu jej akurat nie rozumiem...

Dalej. Okazało się, że sąsiadka pani Kazimierzy ma na imię Jadwiga - wyjaśnieniu tej mrocznej zagadki poświęcił reżyser wiele planu. No, ta Jadwiga – nie do przewidzenia - łamie nogę. Trzask łamanej kości nieco otrzeźwił pana Mirosława, który przeżywał coś na podobieństwo TVodlotu.

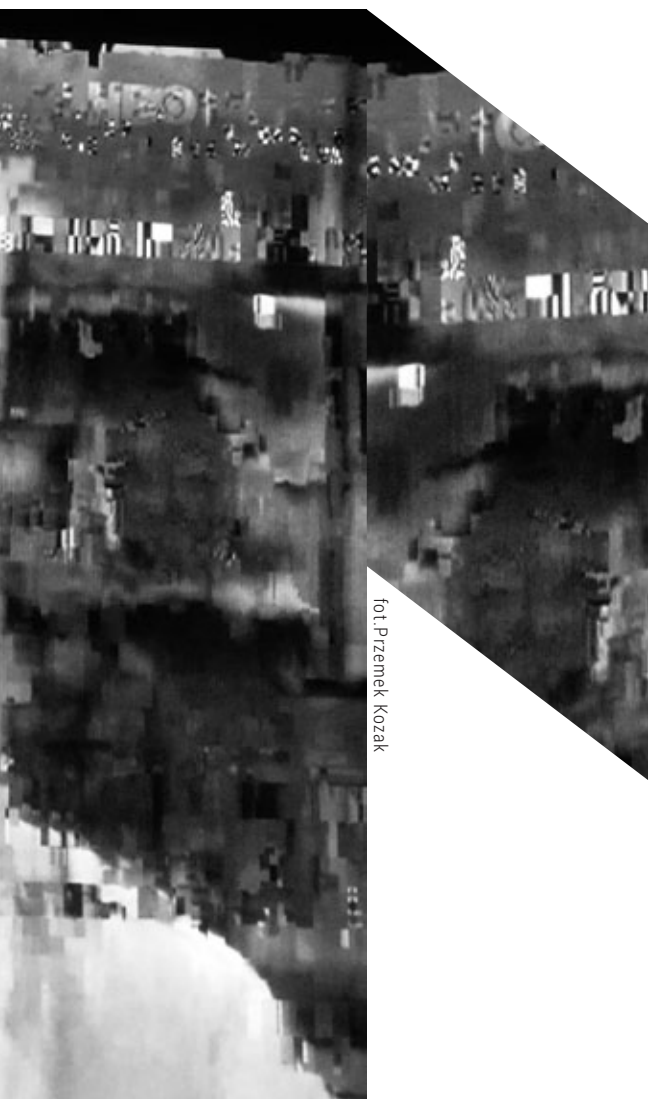
Przyjechała karetka. Marki uwiecznionej na kamerze. Jednym z ratowników okazał się ojciec... Sorry, ojczym. Kasi, dokładnie. Stwierdza złamanie, na co zresztą reżyser każe nam trochę czekać, bo noga pani Jadwigi jest ciasno owinięta w jakąś szmatę.

I wtedy na schodach pojawia się pan Mietek, wdowiec, były kolejarz, były hydraulik, były stolarz. Mobilność zawodowa pana Mietka budziła powszechną zazdrość. Stąd nie był zbyt lubiany. O dziwo nie pił alkoholu (karygodny błąd scenarzysty i reżysera). I nagle uderzył w twarz ojca Kasi – ratownika medycznego.

Niestety, o tym, co dalej, pan Mirosław będzie musiał czekać do jutra.

- Katastrofa – pomyślał ze złością – nic to. Jutro będzie lepiej. Kolejny przepiękny dzień z serialem – westchnął. Zastanawiał się chwilę nad frapującym tytułem obejrzanego przed chwilą dzieła. „Ptaszyna w krwiobiegu sokowirówki”.

- Nie mam pojęcia, czemu? Ale to dopiero pilot, trudno cokolwiek wywnioskować – pomyślał i odleciał...



fol.Piżemek Kozak



ZIEMOWIT KAYZER

Castel di Adolfo, czyli Zamek Adolfa

Miecz Adolfa stał oparty o ścianę. Sam Adolf, opleciony kołczugą ze stali nierdzewnej, osobiście spożywał posiłek.

Ulubiony pies Adolfa bawił się rzuconą przed chwilą kością. Kość była wołowa. Rzucona ciężką ręką Adolfa, potoczyła się pod stołem, rozrzucając resztki przylepionej do niej kaszy.

Przeżuwając mięswo z kaszą Adolf siedział w ciszy i skupieniu. Tylko płonący w palenisku ogień wydawał jakiekolwiek dźwięki. Wtem skwierczące polana rozsunęły się pod własnym naporem.

Adolf tylko poruszył gałkami w stronę paleniska. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Skończywszy posiłek odsunął od siebie miskę, wstał i zdmuchnął płonące na stole świece. Salę spoił półmrok. Ciężkie kamienne mury potęgowały majestat Adolfa.

Podszedł do okna. Na zamkowym dziedzińcu drużyna upijała się powoli. Spojrzał w górę, aby sprawdzić, czy strażnik-obszernik spełnia swoją powinność. Spełnia. – Dobrze – pomyślał Adolf.

Postanowił położyć się w komnacie sypialnej i przemyśleć nowe wyprawy. Świeże łupy, zalegające w piwnicach zamczyska, wciąż jako żywo odbijały się w pocziwym umyśle Adolfa.

Blask, jaki postanowił przywrócić swemu władztwu, po panowaniu swego brata – świra, oddziaływał nieustannie na wyobraźnię. Pragnienie zemsty na sąsiadach, wciąż było żywe i nieubłagane pchało Adolfa do zbrojnej konfrontacji.

Brat Adolfa zaprzepaścił bowiem szansę, jaką dawało ubicie interesu na sprzedaż części komputerowych. Brat Adolfa w ogóle był jakiś niemrawy, jedyną jego życiową pasją było granie w skata z drużyną.

A Adolf nienawidził skata. Kiedyś, grając, brzeg karty do tej głupiej gry rozciął Adolfowi palec. Od tamtej pory Adolf stał się małowimny i ponury, skrył się w cieniu zamkowego życia. Nie odezwawszy się do nikogo, toczył przed sobą krwawą wizję wypłnienia społecznego elementu.

Brat zginął zresztą w dość podejrzany sposób: nachylając się nad pewnym pergaminem przypalił włosy stojącą nieopodal świecę. Poparzenia czaszki okazały się na tyle rozległe, że zmarł w wyniku zakażenia.

W Adolfa wtedy jakby duch nowy wstąpił. Nie zawracając sobie głowy pochówkiem brata – świra, Adolf rozpoczął nowy rozdział w dziejach władztwa. Tak nawiasem: zwłoki brata kazał Adolf wyrzucić przez okno, żeby nie zagracało pomieszczenia kancelaryjnego. Trup rozkładał się długo. Obecnie już tylko szarawe kości wały się tu i ówdzie rozwleczone przez psy.

Po początkowym szoku, drużyna przyzwyczaiła się do tego widoku, wytrzymała także stosunkowo nieświeży zapach.

Natychmiast po śmierci brata Adolf przystąpił do ćwiczeń drużyny w duchu nowego porządku.

Na chłopstwo spadł bezwzględny terror. Okoliczni szlachecy, jak jasna cholera, sąsiedzi zaczęli ugiąć się pod ciężarem żądań Adolfa.

I jak kiedyś naśmiewano się z adolfowego brata – świra, tak teraz trupio błąd strach sparaliżował wszystkich dokoła.

Aby zdobyć niezbędne fundusze Adolf musiał rozpocząć działalność gospodarczą. Po długim namyśle z najstarszymi z drużyny postanowił zainwestować w agroturystykę.

W kilka dni po naradzie nad wejściem do największej baszty pojawił się napis Zimmer zu vermieten.

W dodatkowym pakiecie goście mogli wykupić łaźnię i ziołolecznictwo. Łaźnia powstała zresztą dzięki zewnętrznemu dofinansowaniu w wysokości 60 % całkowitych nakładów na tą inwestycję.

Jedno tylko strasznie denerwowało przyjezdnych (i nie były to walające się tu i ówdzie ludzkie szczątki). Mianowicie, ceny alkoholi w karczmie były zaporowe.

Wnioskowanie Adolfa było jednak piorunująco logiczne: ciemny i spragniony turysta po prostu musiał u Adolfa kupować ów towar. Adolf okrutnie karał szarą strefę, więc nikt nawet nie próbował robić czegoś na własną rękę, zwłaszcza w dostarczaniu gościom procentowych trunków.

Miał po prostu łeb do interesów i dążył do maksymalizacji zysku.

Owszem, jeden z sąsiadów, na zamku obok, mógł za słoną opłatą prowadzić wyszynk. Z jednego względu: sąsiad ów dysponował córką dość ładną. Właściwie całkiem ładną. Dysponował, to chyba właściwe słowo. Sąsiad ów należał bowiem do tych tchórzliwych skąpców, którzy nie cofną się nawet przed handlem rodziną, byleby osiągnąć satysfakcjonujący efekt finansowy.

A Adolf miał słabość do kobiet. Dlatego też zalewał się łzami, gdy dowiedział się, że tą córkę wóz z sianem przejechał na płacek, gdy wracała z dyskoteki. Chłop – kierowca wozu – natychmiast stanął przed sądem tzn. obliczem Adolfa. Stąd też i nowe kości na zamku. Choć w to upalne lato doszło do takiej dziwnej mumifikacji chłopca. Tym bardziej, że całkowity (jakżeby inaczej) brak głowy nadawał zupełnie nowego wymiaru ówczesnej wiktymologii.

Głowę Adolf odesłał ojcu wraz z listem poleconym oznajmującym, że odtąd ma zakaz wyszynku na swojej posiadłości. Ojciec bardzo rozpaczał. Nie z powodu córki rzecz jasna, tylko z powodu tego zakazu.

Pozbawiony miłości swojego życia Adolf rozpoczął planowanie nieco bardziej odważnych kroków...

Castel di Adolfo, czyli Zamek Adolfa cz. II

Kroki Adolfa odbijały się groźnym echem. Idąc czytał otrzymany przed chwilą przez żebraka anonim. Anonim był wyklejony literami z trawy. – Perz – ze zjawstwem stwierdził Adolf nachylając się nad pergaminem. Anonim stwierdzał, że w lesie Adolfa grasuje kłusownik. Dowód żaden, prawda? Nic to. Dla Adolfa donos był królem dowodów, postanowił więc zareagować natychmiast i spatrołować okolice.

Nie od dzisiaj wiemy, że patrole Adolfa często kończyły się dla otoczenia co najmniej niewyraźnie.

– Na koń! – krzyknął Adolf do drużyny.

Dziedziniec wypełnił się złowrogim majestatem szczęku żelastwa. Zdziwieni turyści wypatrywali z zamkowych okien, jak kwiat rycerstwa opuszcza plac.

Las był ciemny i ponury. Adolf prowadził peleton jedynym traktem wiodącym z zamczyska w świat. Kazał mieć wszystkim oczy i uszy otwarte tak szeroko, jak to tylko możliwe. Kłusownikiem może przecież okazać się każdy, nawet najdrobniejszy szeleś. Nagle zza zakrętu wyłonił się starzec z siwą brodą (niezłe, co?). Pieszko. Dla Adolfa starcy, kobiety i dzieci, to był rower z kołem (no, powiedzmy, że bułka z masłem). W podejrzliwym umyśle Adolfa zrodziło się natychmiast podejrzenie, że oto jest właśnie ów straszliwy kłusownik kaleczący swymi siłami adolfowe zwierzęta.

Śluszość podejrzenia potęgowały jeszcze rozgrzane do czerwoności ślepie starca. Egzekucja wisiała w powietrzu, gdy nagle wędrowiec powiedział:

– Dokąd zmierzacie świętobliwi rycerze?

Grymas wściekłości skrzywił usta Adolfa na tak bezczelne pytanie.

– Na pohybel mordercom zwierząt – odparł Przywódca.

– Jakich zwierząt? – zapytał starzec.

– Tych, które łapiesz w swe mordercze łapska, staruchu.

– Jestem niewinny. Jestem pielgrzymem.

– Kłamiesz, łotrze. Zginiesz teraz w mękach w lochach mojej warowni. Pojmać go, moi rycerze.

Starzec odwrócił się i jął uciekać w leśną gęstwinę. Niestety, dosięgły go strzały rycerskich łuków. Padł więc martwy na ściółkę.

Z uwagi na fakt, iż kości i tak zalegały adolfowe zamczysko drużyna postanowiła pozostawić trupa na miejscu. Niech będzie postrachem i przykładem. Przykładem i postrachem.

Podczas powrotu rycerze żywo komentowali to niebezpieczne starcie. Adolf tymczasem myślał, jak dobrą reklamę przyniosą rozkładające się przy drodze zwłoki. Iluż turystów tłumnie odwiedzi zamek poszukując inspiracji. Zresztą, media zawsze traktowały Adolfa z wielką pobłażliwością. A o trupie

się z pewnością rozniesie. Ewentualni wrogowie zadrzą ze strachu. Wszelkie kłusownictwo zniknie raz na zawsze z adolfowej kniei. Na samą myśl łagodny uśmiech przemknął się przez twarz Adolfa.

– Kolejny epizod zakończony powodzeniem – pomyślał Adolf...

Przy wieczerzy jednakże dopadły Adolfa pewne wątpliwości. Jakiś nieznany cień błąkał się w umyśle, jakiś obłok szary spowił mężne serce, jakiś całun ciemny owinął spojrzenie błękitne.

Jeśli to istotnie był pielgrzym, to kłusownik działa nadal. Działa i będzie działał. Poczucie bezkarności, poczuje siłę licha leśnego, a wtedy...

...a wtedy może stać się naprawdę niebezpieczny. Może tępić zwierzęta, aż głód zajrzy w oczy mieszkańcom zamku.

– Nic to. Trzeba o świcie znów wyruszyć na poszukiwania bandziora – pomyślał Adolf. I usnął zmorzony na stole...





PAWAŁ SALAMUCHA
Zazwyczaj jestem cichy,
ale bywam głośny. Zdarza
mi się wstać lewą nogą,
choć częściej po prostu
zrywam się ze snu w jawę.
Wpadam w nią niczym
śliwka w kompot. Wiśni nie
lubię, więc puenty nie bę-
dzie. Czyniąc długą historię
krótką – piszę bo lubię.
Niespecjalnie podniecam
się prozą, chociaż poezja
mnie kręci. Dużo fotogra-
fuję, ale mało wybieram
i publikuję. Składam się
ze skrajności – w zimę
szukam słońca, natomiast
latem cienia, gdzie
mógłbym usiąść i patrzeć
na rozgrywający się wokół
mnie świat i po prostu BYĆ.

zen po polsku

No ładnie. bardzo ładnie mi to wygląda. nieciekawie ale jednak. ty na kanapie. pies na dywanie. ja na podłodze. pijany. wspinający się na krzesło. miało być inaczej. wszystko miało być inaczej. nie jest.

ty na kanapie. pies na dywanie. ja w pół na krzesło w pół na podłodze. zastygnięci wyglądamy jak rzeźby lub mędracy. czekamy na coś. na kogoś. siebie?

krótkie zejście

W pokoju panował półmrok. Jedyne światło stanowił włączony telewizor. Jednak na ekranie zamiast prezenterów, gangsterów i policji, śpiewających aktorów i kucharzy widać było wędrujące monochromatyczne mrówki.

Szalejące piksele niezmiennie oznaczały, że pracownicy telewizji już śpią. Przypominał o tym również wydobywający się z głośników dźwięk – syk poprzecinany drobnymi trzaskami. Podobny wydawały czarne płyty.

W pokoju poza telewizorem stał sporej wielkości stół. Na nim swoje stałe miejsce miał brudny talerz i kubek niedopitej herbaty, pozostałości kolacji. Poza tym w pomieszczeniu znajdowało się kilka szafek z półkami, na których stały książki i filmy DVD. Na ścianie powyżej łóżka gdzie spał Marcin wisiał zegar. Wskazywał godzinę 3:15.

Czy to miało jakieś znaczenie?

Tego mężczyzna nie mógł wiedzieć, bo przebywała właśnie w krainie Morfeusza. Śnił mu się koszmar. Goniło go jakieś zwierzę – duży pies, lub wilk. Raczej wilk. Nie wiedział na pewno. Bał się odwrócić. Wolał nie tracić czasu, a pozostałą energię włożyć w bieg. Gnał więc ile miał sił w nogach. Te jednak z kroku na krok stawały się coraz cięższe, aż w końcu zaczęły ciążyć niczym betonowe słupy.

Kiedy jednak zwolnił od razu poczuł na plecach świszczący oddech bestii. Ne zdążył się nawet odwrócić.

- Nie! – krzyknął.

Po chwili zdał sobie sprawę, że to był tylko zły sen. Wygrzebał się spod kołdry i usiadł na skraju łóżka. Sięgnął po kubek z herbatą. Napił się. Zimny płyn nawilżył nieco spuchnięte od krzyku gar-

dło. Wiedział, że tej nocy długo nie zaśnie. Nagle poczuł coś dziwnego. Wzbierającą potrzebę żeby wstać i zejść do piwnicy. Nie chciało mu się, ale czuł, że musi to zrobić, że wydarzy się tam coś ważnego.

Nie założył nawet butów. Wstał i wyszedł. Było ciemno, ale nie potrzebował dodatkowego światła. Doskonale znał drogę. Zamknął oczy. Miał nadzieję, że potknie się i spadnie ze schodów, co pozwoliłoby mu otrząsnąć się z letargu. Jednak dziwna siła prowadziła go w dół z ogromną, niepojętą wręcz precyzją. Kolejne kroki stawiał pewnie. Spróbował wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Nic z tego. Złowieszczą moc trzymała go na niewidzialnej smyczy. Kneblowała usta i pętała wolę.

W końcu stanął przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Jednym ruchem ręki złapał za klamkę i otworzył je z impetem. Zrobił krok do przodu. Ocieężałość minęła. Mimo że odzyskał wolę działania postanowił dokończyć misję, bo jak inaczej nazwać to co miał zrobić. Zapalił światło, zamknął za sobą drzwi. Nie chciał żeby ktoś wchodząc do klatki zauważył, że są otwarte i być może zszedł za nim. Mógłby wziąć go za złodzieja, albo prędzej wariata, wezwać policję i zrobić awanturę. Zleciłiby się sąsiedzi i zaraz miałby na karku zarządcę domu. Wolał zrobić to po cichu. Kiedy był już na dole jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Przypominał ten wydobywający się z telewizora, ale było w nim coś niepokojącego... złowrogiego. Postanowił, że załatwi to jak najszybciej i zaraz wróci do łóżka.

Jednak teraz szedł przed siebie. Głębiej w ciemność. W myślach powtarzał sobie, że sprawdzi czy czegoś tam nie ma i wraca. Być może podejdzie do swojej piwnicy. Tam, między starymi rzeczami miał od lat ukrytego skrzęta marihuany. Przydałoby mu się teraz wziąć kilka machów i uspokoić się. Tak robi, ale najpierw musi tam dotrzeć.

Ostrożnie ruszył do przodu, w końcu mógł czaić się tu jakiś szczur, kot lub nawet pies. W końcu korytarza ujrzał jakąś postać. Była skulona pod jedną ze ścian. Nie mógł rozpoznać kto to. Zawołał więc, ale tamten nie odpowiedział. Pomyślał, że to może być jakiś pijany dzieciak, w końcu był piątek. Pewnie młody napił się, zszedł na dół żeby trochę wytrzeźwieć, w takim stanie nie pokaże się starym.

Zbliżył się, ale obraz zafalował i nie mógł dostrzec szczegółów. Wszystko przez słabe światło. Zrobił jeszcze kilka kroków. Przyjrzał się dokładniej i zrozumiał, że to nie dzieciak, ale on sam. Skarłały,



wpatrzony w betonową podłogę. Nagle postać zaczęła podnosić głowę. Kiedy ich oczy spotkały się nastąpiła krótka wymiana informacji. Z obserwatora stał się obserwowanym. To było jak przeskok iskry.

W jego głowie kłębiły się myśli. Jedna z nich wybijała się ponad inne. Głos mówił, że to tylko sen. Przecież to nie jest możliwe. Jednak jakaś inna część wiedziała, że wszystko dzieje się naprawdę. Marcin zamknął oczy i żeby się nie bać zaczął śpiewać piosenkę. Nie mógł patrzeć, ale czuł, że tamten świdruje go wzrokiem. Powoli wstał. Kiedy strach sięgnął zenitu otworzył oczy. Przed sobą ujrzał otwierające się usta pełne ostrych jak szpilki zębów. Natomiast całą postać zaczęły porastać włosy. Odepchnął to coś ręką i zaczął uciekać. Chciał jak najszybciej opuścić piwnicę. Zamknąć za sobą solidne drzwi i przytrzymać je. Zamknąć to coś w środku. Biegł ile miał sił w nogach. Czuł, że tamten jest tuż za nim. Zobaczył schody. Kilkoma susami pokonał je. Złapał za klamkę. Wtedy obudził się. Był we własnym łóżku. Sięgnął po herbatę i napił się. Nagle poczuł, że coś w nim wybiera, jakaś wewnętrzna potrzeba...

ostateczna forma istnienia

Akt 1.

Chodził po pokoju bez celu. Był pijany i to jak. Nie mógł utrzymać równowagi. Oczywiście, że nie mógł. Któż mógłby po wypiciu prawie dwóch litrów taniej wódki wyglądać i chodzić normalnie. Jednak nie był smutny. Upodlenie to jedyny stan, w którym czuł się dobrze. Więc chodził, a przynajmniej próbował. Obijał się o ściany pokoju, meble i lustra.

- KURRRRRWWAAAA! – krzyczał na całe gardło.
- Widzisz! Widzisz!

Po kilku godzinach padł na twarz. Nie zasnął od razu. Początkowo chciał jeszcze wstać, ale nie miał siły ruszyć się nawet o centymetr. Mięśnie były wiotkie jak przebita dętka.

Akt 2.

Kolejny świt. Woda i fajki. Potłuczone szklanki, przypalony stół i pozrywane firanki. Ogólny rozkład i rozpad. Wyro to nora. Mieszkanie jaskinia troli. Obraz był nieostry, żeby nie powiedzieć zamglony.

- KURRRRRWWAAAA! – krzyczał na całe gardło.
- Widzisz! Widzisz!

Czuł, że coś się kończy. Początkowo nie mógł zrozumieć co. Przecież nie woda i nie radość ze stanu jaki wywołuje. Nagle w jednej nieskończonej krótkiej chwili zrozumiał.

- Wszystko się kończy – powiedział do siebie.
Osunął się i zasnął.

Akt 3.

Wstał. Już od pierwszych nietrzeźwych minut ogarnęła go jakaś ostateczność. Być może dobry Bóg zstąpił z niebios i ścisnął jego mózg, bo czoł straszny ból wewnątrz czaszki. Dobrze, że nie ścisnął go za jaja, bo wtedy naprawdę by się wściekł i być może mu dowalił.

Wymierzył palcem w portret św. Piotra wiszący na ścianie i pogroził mu.

- Porządek – zarządził.

Ten stan, ta ostateczność wzbierała w nim i czuł, że to nie skończy się zwykłym kacem. To będzie kac przedwieczny, kompletny być może nawet śmiertelny.

Rozwalała go ta świadomość, ale na razie odrzucał od siebie złe myśli. Wiedział, że ma jeszcze czas, że jeżeli coś nastąpi to jeszcze nie teraz, nie dziś, być może nawet nie w tym tygodniu. Co prawda na miesiąc nie liczył, ale czuł, że ma jeszcze morze wódki przed sobą, więc pił. Potem tarzał się po podłodze – szczeakał. Wstawał i wpadał na meble – rozbijał je pięściami i kopał. Łamał krzesła i tłukł puste butelki na głowie.

Wewnątrz miał tę przerażającą pustkę. Ostateczną. Osunął się i zasnął owinięty w szlafrok, w którym wcześniej wziął kąpiel.

Obudził się jakoś tak o 5 nad ranem. Chciało mu się pić, ale nie od razu sięgnął po butelkę. Najpierw rozejrzał się po pokoju i ocenił jego stan. Narozrabiał, ale to i tak nic wobec tego co miało nadejść. Nagle poczuł nieskończoną samotność. Różne myśli przychodziły mu do głowy. Zapadał się w nich. Zstępował w nie. W końcu zrozumiał, że się pomylił, że nie miał już ani minuty więcej. Przyjął to jak mężczyznę.

Po kilku dniach znalazła go właścicielka mieszkania. Leżał na dywanie. Był biały. Nie żywy i nie martwy. Osiągnął ostateczną formę istnienia. Był.



PAWAŁ SALAMUCHA

aparat

aparat który noszę w uchu
chce mnie zdominować
wciąż trzeszczy i jątrzy
mówi – złap i uduś
woła – zabij i zakop
- zrób to po cichu
ja ci pomogę
mówi – nikt się nie dowie
- ty i ja to jedno
choć inne życie

opieram się hamuję
ale w końcu pękne
czuję że zbliża się
fala ostateczna

jeszcze słońce ty przed okresem
jeszcze wszystko przede mną
jeszcze można lub nie
sam nie wiem
wypada?
krzyczy – zabij i zakop
zmusza mnie i gani
- nie potrafisz? – pyta
- potrafię!
zaczynam rozumieć
powtarzam w myślach
jego słowa
- zabij i zakop
lub zjedź jeśli wolisz

notatka / 17 maja 2015

- Cieszę się, że robisz mi ten
nieporządek w chaosie – powiedziała.
- Nieporządek w chaosie? – pytam i dodaję –
fajnie to brzmi, jak z wiersza.

Z mózgu i z serca
bo wszystko stamtąd wypęła
głowa pęka od nadmiaru słów
choć przerobiłem tylko pół słownika
resztę zostawiłem na później
- Co tam znajdziesz? – zapytała.
- Ciemność i światło – odpowiedziałem.
A jeżeli chodzi o wodę, to TAK
bardzo chętnie, a potem meduza zamiast placków i
piwo ze słoika po dżemie. Takie sobie słodko-gorzkie śniadanie –
nieporządek w chaosie.

*** (nie dotykaj)

nie dotykaj mnie
i więcej o mnie nie myśl
w szafie mnie zamknij
w piwnicy
na tyłach domu mnie zakop
w ogrodzie
tam
gdzie kwitną poziomki

notatka / 11 czerwca 2015

w cudzych domach
nie swoich słowach
w myślach obcych ludzi
ukryłem siebie
ciebie ukrywać nie muszę
ty jesteś
świecisz
jarzysz się
halucynujesz
ja drzę

gdzie kwitną poziomki

Niebieska piosenka

Po dniu spędzonym na bezludnej wyspie
w otoczeniu daktylowych palm, muszli i drobnego pisku
wracamy do siebie. W hotelu zjadamy lekką kolację
świeżą sałatę, pomidory, jakieś bliżej nieokreślone
morskie stworzenia.

Zamawiamy drinki – wódkę z lodem i limonką.
Głędzimy o bzdetach.
Po kilkudziesięciu minutach lądujemy w łóżku.
Muzyka miłości gra głośno i bez końca.
Zatopieni w sobie zapominamy o świecie.
Największą złożonością tej chwili jest galaktyka
naszych splecionych w intymnym uniesieniu ciał.
Po wszystkim odpływamy na wschód.
W nieskończoną noc.

NIEUBRANI W SŁOWA

Pamiętam ze szkoły odświeżające uczucie, kiedy zaczynało się pisać w nowym zeszytce. To tak, jakby wszystko miało stać się od tej chwili nowe, w tym również właściciel zeszytu. Słowa na pierwszej kartce zapisywało się jak najstaranniej, tak jakby to one zapowiadały, że od teraz będzie wszystko inaczej, lepiej. I „odzieję się w nowego człowieka”, jak powiedział św. Paweł.

To takie śmieszne i dziecinne, myślę sobie, kiedy piszę te słowa, stukając palcami po klawiaturze komputera. Klik, jest słowo, klik, nie ma słowa. Czcionka Minion Pro w rozmiarze 10 niewiele o mnie mówi. Nad wirtualnym zeszytem Microsoft Word nie muszę się zastanawiać, starać, z namaszczeniem stawiać litery. To, co wyklikam, a nie napiszę, może za chwilę zniknąć. Używam słów jak noża i widelca, którymi konsumuję świat – są mi potrzebne, żeby napisać maila, wysłać posta na FB, wykonać przelew, znaleźć coś w google, opracować dokument do druku... Czy ktoś siada do stołu po to, by rozsmakowywać się w nożu i widelcu?

Znam takich. To ci, którzy piszą książki, i ci którzy dopiero uczą się pisać. Dla pisarzy i dla małych dzieci słowo pisane samo w sobie jest czymś fascynującym. W obydwu przypadkach wciąż i sprawia frajdę – bo w ten sposób... ubierają się w nowego człowieka. W słowie wyrażają tę jakąś część siebie, która z jakichś powodów ma wyjść poza nich – bo jest ładna lub brzydka, chciana lub niechciana. Potem zazwyczaj chcą, aby inni popatrzyli, jak wyglądają w takim ubraniu. Dziecko pochwali się rodzicom, a pisarz czytelnikom: to ja, to ja to napisałem!

Pomiędzy dziećmi i pisarzami są też tacy, którzy czasem wstydliwie ubiorą się w słowo sami dla siebie. Co z tego pozostaje? Najprawdopodobniej kartonowe pudła pamiętników, piosenek, wierszydeł, listów i zapisków na kartkach, karteczkach i karteluszki. Nie wiadomo, czy na pamiątkę dla wnuków, czy na strawienie przez ogień, ale jeśli już to drugie, to żal serce ścisnąć przy odpalaniu zapalniczki... Dlaczego? Bo tam, w tym słowie, jest moje najprawdziwsze ja – z jednej strony ubrane w litery, z drugiej – rozebra-

ne do naga. Może właśnie dlatego czasami wolimy spalić siebie w ten sposób zapisanych, utrwalonych i przez to obnażonych, bo uczyniliśmy to w chwilach „słaboszczerości”, czyli wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowaliśmy...

Okazuje się bowiem, że przez sunące po kartce litery możemy przyjrzeć się sami sobie. W każdym zdaniu zapisanym tak po prostu, z wewnątrz, ćwiczymy gapienie się na samych siebie. Czasem bywa zdumiewające to, co zobaczymy w lustrze słowa. Czasem wzburza do granic wytrzymałości po to, by potem przynieść ukojenie. A czasem zwyczajnie rozwesela, ratując przed potworami, smutkami i smętkami codzienności. Taki inny, równoległy świat otwierający się po otwarciu zeszytu... Czy to katharsis? Czy to autoterapia? Czy może dziwactwo? Nazwałabym to twórczością. Słowo, jeśli użyje się je inaczej niż li tylko noż i widelec Minion Pro w rozmiarze 10, ma moc twórczą w naszych rękach. A twórczość ocala, bo... nieustannie odziewa w nowego człowieka.

Szkoda, że jako dzieci cieszyliśmy się z pierwszego samodzielnie zapisanego słowa, jako uczniowie – z pierwszego szkolnego zeszytu, jako nastolatki – z pierwszego napisanego wiersza, a jako dorośli – coraz mniej i mniej wysławiamy się i siebie prawdziwych...

Rozglądam się dziś wokoło w poszukiwaniu jakiegokolwiek zeszytu i myślę sobie: zapisywać pierwsze słowo, pierwsze pojęcie z jakimi budzę się rano. Zapisywać resztki snu parujące nad kubkiem kawy, strzępek modlitwy niewypowiedzianej nad skórką chleba, nadzieję zwiniętą w kłębek jak śpiące dziecko, jakiś błysk, jakiś przelot myśli przez głowę. Nie odchodzić od stołu, nie wychodzić z domu – taka nieubrana, taka bez słowa.

ALEKSANDRA
LEMAŃSKA



autor:
MAREK SAMSELSKI
rysunki:
PRZEMEK KOZAK

nie tylko kalambury nie dla ponurych

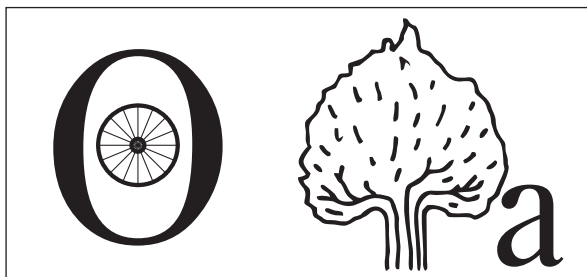
czekamy na Wasze
zagadkowe rebusy
i miniaturki literackie

rozwiązania
na stronie 30

Rebus I

Nie ma hałasu

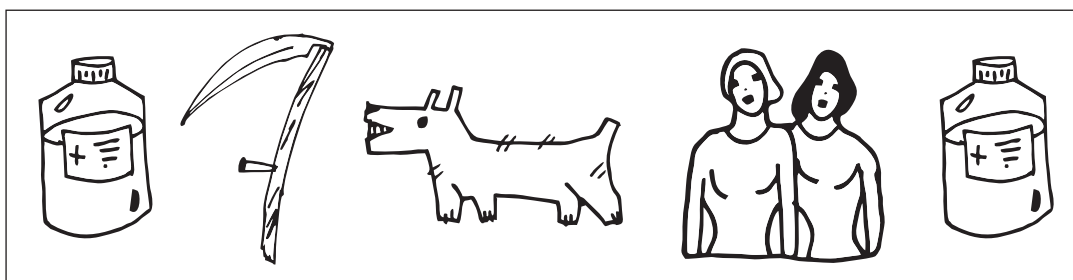
(rozwiązanie składa się z dwóch wyrazów)



Rebus II

Piesek nieco zmęczony

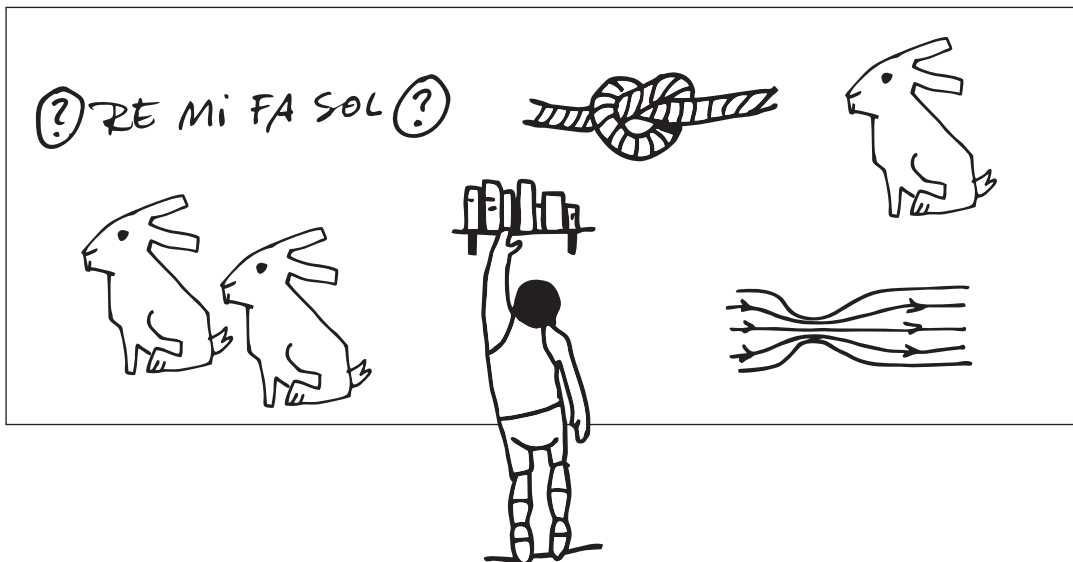
(rozwiązanie składa się z trzech wyrazów)



Rebus III

Cicha inwazja

(rozwiązanie składa się z siedmiu wyrazów)



Kalambur I
Bez słów

Jegomość, księga oraz posiada
Kiedy gestami się opowiada

Palindrom I
Żujący Kazik

Uwielbia żuć gumę nasz Kazik,
chyba na tym punkcie ma bzika,
dzisiaj trzy godziny,
niech przestanie,
bo szkoda nam Kazika

Limeryk
A kto to?

Pewien trzynasty ze spisu
wszedł na batut i w celu popisu,
łbem chciał sięgnąć sufitu,
lecz mu wyszło do kitu
więc mu poradzono, by spróbował zwisu

Kalambur II
Cenne do zrealizowania

Spójnik, pustka, pierwsza osoba,
druga osoba, druga osoba liczby mnogiej
– działania twórcze, pełne pomysłów,
(oj, niech się rodzą w każdej głowie!)

Palindrom II
Akcja przed lekcjami

Nocna wichura wielką gałąź topoli złamała
i rzuciła aż na środek szkolnego boiska,
. usunęli wspólnymi siłami
uczniowie razem z nauczycielami

Anagram
Małpy w wannie

Siedzą sobie małpy trzy
w wielkiej wannie
i zażywają ,
a było to blisko niedzieli,
namydlają się starannie
. nawzajem po plecach,
taka kąpiel to niezła heca!

**Gdzie
to jest?**

W strumieniu świadomości

fragmenty monologu wewnętrznego, wygłoszonego przez
Andrzeja Cisowskiego, w trakcie realizacji projektu
zatytułowanego „Ruchome Sny”

nie wiem co on sobie myśli gra ze mną i prowokuje niby panuję nad porządkiem rzeczy pomiędzy nami a to on On dyktuje teraz warunki ruchy nieznane mi przewiduje jak szachista pieprzony jakiś i to centrum skupienia uwagi sprytnie gdzieś ukrył a wszystkie postaci które umieściłem zgodnie kpiąc doszły do porozumienia bez mojej zgody uwiera mnie coś w lewy półdupek kamień jakiś czy może skorupa z małżem w środku wszystkowiedzącym czy coś może być wszystkowiedzące i przewidujące a jeśli tak to tak czy smak gniece w lewy półdupek więc ułożę się na prawym boku zapalilibym papierosa na ten niepokój i energii wzniecił na tyle by zamałować przynajmniej jedną postać rozmyć no no no właśnie nierozpoznawalną niejasną z tajemnicą którą tylko ja będę znał i cały porządek nie rozpadnie się ale ukryje i zniknie dyktat tych kilku postaci w ramie obrazu który sam stworzyłem chociaż przecież nie jestem pewien chyba nigdy nie jestem pewien czy ta potworna liczba asocjacji składająca się na jeden albo w jeden aksjomat każący wykonać taki właśnie ruch żrenic i palców docierający do dna do dna oka i dalej czy to mój dyktat czy może tego pieprzonego małża ukrytego w skorupie pod moim półdupkiem na pewno nie dającym się nazwać tłustym więc jednak przewrócę się na prawy bok o wygodniej teraz a te papierosy leżą jednak ciut za daleko sięgnę jednak bo muszę i pierdnę sobie o jak soczyście i przeczyszczająco w kolorze zgniłozielono-żółtym brudnymi plamkami rdzy nakrapianym jak jaja przepiörcze a u Joyce'a morze było w szczynozielonym kolorze

mogę sobie dać z nim radę jednym kolorem indygo jak Duffield z Wiwisekcji Patricka White'a no oczywiście nie będzie to moja ostatnia praca bo ten obraz nasycony indygo miał być ostatnim Duffielda

równiutkim indygo wzdłuż i wszerz podyktuję warunki i szachista pozornie bez sensu przesuwający gońca na niechronione czarne pole zamałowany będzie nie zawołowany a kolor nocnego nieba pięknie komponuje się z błękitem dnia i żółcią też no żółć mi przyszła do głowy ale jej nie ulewam a kojarzy się przecież żółć z ciepłem i złotymi promieniami i kamieniami może bardziej interesują mnie te milowe a zanim użyto ich do przenośni służyły podróżnikom na rzymskich drogach a Oktawian August kazał w centrum Rzymu wznieść kamień milowy pokryty połączoną blachą zwieńczony

złotą kulą no no no taka kolumna stojąca przy mównicy na Forum Romanum ją namalować ale mównica jest symbolem zbyt wymownym a taki odpada

bo bez zagadki a zagadką jest ten pieprzony szachista w kilku postaciach który obawiam się że wie czego chce a asocjacje dymią z braku aksjomatu zaraz zasnę z twardym jak kamień postanowieniem mocną rzecz zrobić czyli załatwić sprawę po męsku chociaż mocne i skuteczne w osiągnięciu celu potrafią być kobiety przebiegłości używając i empatię a tego małża wszystkowiedzącego wsadzę pomiędzy pośladki zgmiotę i płaski się stanie ale nie taką płaszczyzną która może ożyć jak płaszczyzna płótna

wyziewam się i chyba dotknę zaraz smużki snu ach jak lubię przekraczać tę granicę cienką linię na której można sobie pobalansować a granice podróznicy galernicy przekraczają wiele razy próbowała starość jeszcze nie przyszła i o żadnym tam przekraczaniu smugi cienia nie ma mowy o dojrzałości może być mowa i energii do pracy potrzebnej jak w tej Ezopowej bajce o starym i młodym wole tym starym ciężko pracującym i młodym co nie zaznał jarzma i biegał wolno czyli swobodnie po polu molarnej pracy nie zaznając aż przyszedł czas składania ofiar i ten młody został wybrany do złożenia na ołtarzu więc pouczające to a należałoby młodym i starym przypomnieć że dwa wieki po wynalezieniu druku Ezopowe bajki były drugą poczytną książką więc mędrzec może sprytem szachistów pokona

w końcu sam ich na obrazie umieściłem stworzyłem obraz w prostokącie ramy na podobieństwo myśli własnej więc może wystarczy polegać na niej mieć zaufanie ale nie mam pewności a szachista jest potrzebny do konfrontacji na polu czarno-białym czy na przykład zero-jedynkowym tu niepotrzebnie szukam kolorów a może umieścić Humpreya Bogarta i jako detektyw Marlowe rozpracuje po męsku silną grupę szachistów w zмовie bo to Bogart został z końcem stulecia wybrany przez Amerykańską Akademię Filmową najbardziej męskim aktorem w historii sztuki kinowej chociaż to raczej chuderlak niewysoki więc zapewne w twarzy w tych bruzdach biegnących od nozdrzy do kącików ust oraz spojrzeniu esencja tej męskości bo raczej miękki był owal jego twarzy

jaka młoda była twarz rzeźbiarza spod Białego stoku i jasne jego oczy chociaż o tyle starszy był ode mnie a ja też ja też jestem starszy od siebie

To kącik dla ludzi mających ciągle odbezpieczony aparat fotograficzny w swojej komórce. Na łamach tej strony będziemy starali się umieszczać ciekawe zdjęcia o charakterze reportażowym lub artystycznym. Ze względów ekonomicznych publikowane one będą w wersji czarno-białej. Obróbka w Photoshopie nie wchodzi w rachubę – liczy się czysty strzał! Prace oceniają profesjonalni plastycy i fotograficy. Elementy satyryczne są mile widziane. Wszelkie formy „Jansu” i parcia na obiektyw działają na niekorzyść twórcy. Pliki w formie cyfrowej (jpg, tiff, png) prosimy przesyłać na kozak@sonc.pl

F O T O K O M Ó R K A



Ziemiwit Kayzer



Przemek Kozak



1. Stanowisko obrony przeciwlotniczej w XXI w. w Polsce
2. Baza noclegowa na Mazurach
3. Lotnisko Helsinki
4. Odpoczynek przy tokijskiej ulicy
5. Kiosk – w Japonii a cieszy

Zdjęcie zrobione w podkarpackim Cieszanowie, podczas tegorocznego festiwalu rockowego. Fanów rocka było tam 30 tys. Autor zdjęcia, szczytnianin Karol Michalak uczestniczył w towarzyszących festiwalowi warsztatach fotografii estradowej, zorganizowanych przez Fotoforma – Olympus. Gratulujemy Karolowi udanych zdjęć, a dodajmy, że udział w tych warsztatach, poprzedzało sto eliminacyjne.

Redakcja

